BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Odważnie i rozważnie

W dyskusji przedzjazdowej „Odważnie i rozważnie", którą publikujemy na str. 6–7, zabierają dziś głos: mgr inż. Włodzimierz Ginko, prezes OW NOT w Lublinie, doc. dr hab. Bohdan Komorowski, kierownik Zakładu Pedagogiki Studium Pielęgniarskiego AM w Lublinie, Edward Kutermankiewicz, członek Wojewódzkiej Rady Artystycznej Kin Studyjnych w Lublinie, dr Czesław Skrzypek, członek Prezydium Zarządu Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa w Lublinie oraz Janusz Wszytko, dziennikarz z rozgłośni Polskiego Radia w Lublinie.

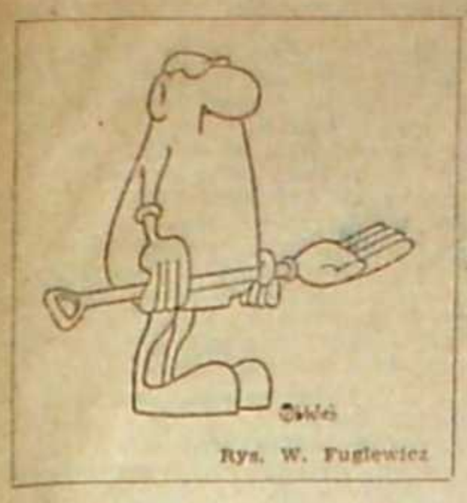

Rys. W. Fuglewicz

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

Egzemplarz obowiązkowy

LUBLIN 7.XI.1971 Nr 23 (482) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

MIESZKANIA czyli nie lizać cukru przez szybę

Jerzy Dostatni

NIE rozumiem, jak w ogóle taka propozycja Komisji Planowania przy Radzie Ministrów mogła dotrzeć do Lublina: na bieżącą pięciolatkę przewidujemy dla województwa lubelskiego środki na wybudowanie 1 267,7 tys. metrów kwadratowych mieszkań w budownictwie uspołecznionym.

Prawda, że nie jest to wielkość do pogardzenia. Prawda jednak równocześnie, że nie pokrywa naszych minimalnie liczonych potrzeb. Ale najgorsze i nie do przyjęcia jest przede wszystkim to, że owa propozycja stoi w jaskrawej sprzeczności z Wytycznymi na VI Zjazd Partii, które w punkcie 44 wyraźnie stwierdzają, że *budownictwo mieszkaniowe w bieżącej pięciolatce powinno wzrosnąć jeżeli chodzi o powierzchnię użytkową mieszkań — co najmniej o 25 proc. w stosunku do ubiegłego pięciolecia.*

Jak podają zgodnie roczniki statystyczne GUS i WUS, w ub. pięciolatce w woj. lubelskim oddano do użytku (w tejże gospodarce uspołecznionej) 1 223,2 tys. m kwadratowych. Tak więc proponowany przez Komisję Planowania przy Radzie Ministrów wzrost wyniósłby wszystkiego 44,5 tys. m kwadr., czyli zaledwie 3,5 procenta. Gdyby zaś odnieść projekt bieżącej pięciolatki np. tylko do roku 1969 (oddano wówczas do użytku 264,6 tys. m kwadr.), to mielibyśmy po prostu spadek o 4,2 proc.

Jak więc pogodzić to z Wytycznymi, które mówią co najmniej o 25 procentach? Można się upierać, że chodzi tu o wzrost przeciętny dla całego kraju, więc różnice między poszczególnymi rejonami kraju muszą występować. Zgoda, ale nie tak olbrzy-

Dokończenie na str. 4—5

Nasze dyskusje

Wymówienie dla przeciętności

Wyniki działalności naukowej zależą w wysokim stopniu od kwalifikacji i jakości kadry badawczej, a także od atmosfery i stosunków panujących w środowisku naukowym. Należy zagwarantować taką organizację prac badawczych, stosunki i klimat, które wyzwolą inwencję i myśl twórczą ogółu pracowników nauki i włączą wysiłek indywidualny w nurt kompleksowych, zintegrowanych prac nad rozwiązywaniem węzłowej problematyki. Należy zapewnić utalentowanym i twórczym młodym uczonym, ideowym i zaangażowanym, możliwość intensyfikacji badań i wpływu na kształtowanie oblicza nauki... — ten właśnie fragment „Wytycznych KC PZPR na VI Zjazd Partii" można uznać za motto dyskusji redakcyjnej, poświęconej warunkom kształcenia i pracy młodej kadry naukowej. Od dłuższego już czasu warunki te są przedmiotem ostrej krytyki, autoryzowanej przez młodych naukowców, co sygnalizuje wagę, aktualność i skomplikowanie problemu.

W dyskusji brali udział: mgr Medard Masłowski — kierownik Wydziału Nauki ZG ZNP, absolwent Asystenckich Studiów Przygotowawczych Instytutu Nauk Politycznych UW, b. przewodniczący RU ZSP Uniwersytetu Warszawskiego i b. sekretarz Komisji Nauki RN ZSP, odpowiedzialny za sprawy studenckiego ruchu naukowego; mgr Romuald Poliński, st. asystent Wydziału Ekonomicznego UMCS, absolwent Wydziału Ekonomii-Politycznej UW, podczas studiów działacz ZSP i ZMS, w roku 1965 przebywający dwa miesiące w Jugosławii na praktyce studenckiej; dr Stanisław Sierpowski, pracownik naukowy Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu (badania historyczne w Belgradzie, Rzymie, Medielanie), podczas studiów prezes Koła Naukowego Historyków, przed studiami nauczyciel szkoły podstawowej. Wszyscy urodzili się w 1942 roku. „Kamenę" reprezentował red. Ireneusz J. Kamiński.

Kamiński: — Temat naszej dyskusji przypomina ów bezdenny worek, proponuję zatem tylko kilka zagadnień: rekrutacja pracowników naukowo-dydaktycznych, staże asystenckie, mieszkania i uposażenie, stosunki na linii doktorant — promotor, języki obce... Co zatem mają panowie do powiedzenia o wątku pierwszym?

Masłowski: — Biorąc za punkt wyjścia okres studiów, wypada zauważyć — rzuca to się zresztą w oczy — że program nauczania nastawiony jest na możliwości studenta przeciętnego. Dla osób wybitnie uzdolnionych studia są czasem bezpowrotnie straconym. Zresztą i w szkołach niższych nie dba się o uczniów szczególnie rozgarniętych i chłonnych intelektualnie.

Poliński: — Kult przeciętności...

Kamiński: — Czy tylko w szkolnictwie?

Masłowski: — No tak. Owszem, podejmowane są próby integracji talentów naukowych poprzez studenckie koła naukowe, działające pod patronatem ZSP. Taką opiekę należy jednak uznać za niewystarczającą; moim zdaniem wszyscy studenci powinni być włączeni w prace badawcze uczelni. Chodzi więc o stworzenie instytucjonalnej formy ujawniania ludzi najzdolniejszych.

Poliński: — W „Trybunie Ludu" proponowano nadanie pracy kół naukowych cech użyteczności naukowej. Już na młodszych latach student powinien opracować na przykład rozdział swej pracy dyplomowej.

Dokończenie na str. 4—5

DELEGAT

Mirosław Derecki

ZOSTAŁEM przez załogę WSK Świdnik wybrany delegatem na VI Zjazd Partii. Pyta pan, jak do tego doszło? Zaraz opowiem.

Mnie się wydaje, że najpierw należałoby się cofnąć o jakieś dwadzieścia lat wstecz, kiedy postanowiłem wyemigrować z rodzinnej wioski. Albo jeszcze bardziej, do momentu, kiedy jako całkiem mały chłopak zachwyciłem się robotą jednego mechanika z młyna. W naszej wiosce, w Księżomierzu pod Kraśnikiem, był młyn parowy. Nie bardzo był on dla mojej rodziny przydatny, bo ojciec choć z dziada pradziada na wsi mieszkał, ziemi własnej nie posiadał — więc mleć we młynie nie było co — a trudnił się malarstwem pokojowym i fotografią. Miał własny, wiejski zakład fotograficzny. Pamiętam wielki, drewniany aparat na trojnogu, czarną, sukienną „nogawicę" zwisającą z boku pudła i rzędy szklanych klisz suszących się na słońcu, za stodołą. Tak. Zakład Bonifacego Łojka znano w okolicy i dlatego też był u nas w domu zawsze ruch — a to zdjęcia ślubne, a to jak chłopaki do wojska szli lub na przepustkę przyjeżdżali, lub też indywidualne, do paszportów, ojciec zdjęcia wykonywał. Było nas dwóch synów — starszy, Wiesław, który potem także malarzem został i ja, Zygmunt, lat temu trzydzieści sześć urodzony.

No, ale wróćmy do tego młyna. Otóż ja potrafiłem całymi godzinami kręcić się w pobliżu, nasłuchiwać jak dudni maszyna, a czasem udało mi się zajrzeć do wnętrza i przyjrzeć się, jak mechanik, starszy facet, w wysmarowanym olejem kombinezonie, przestawia jakieś dźwignie, zwiększa albo zmniejsza obroty, puszcza parę, no, w ogóle wykonuje szereg niesłychanie interesujących czynności, bardzo tajemniczych i bardzo mądrych. Dzisiaj takie zafascynowanie może się komuś wydać śmieszne, a moje opowiadanie trochę naciągane. Ale trzeba sobie uzmysłowić, że wszystko to działo się lat temu dwadzieścia pięć i technika wszelka nie była na wsi rzeczą zwyczajną.

Starszemu bratu, Wieśkowi, marzyła się praca na własnej gospodarce. A ja — nic tylko myślałem i myślałem o tym mechaniku i tych maszynach i coraz bardziej mi to wszystko pięknniało.

Więc jak skończyłem siedem klas w Księżomierzu — nic, mówię w domu — tylko gdzieś do maszyn, do techniki, do przemysłu chcę iść. Ojciec mądry — nie zatrzymywał. Mając lat piętnaście wyjechałem do szkoły zawodowej na Śląsk. Miasto było przemysłowe, hutnicze, nazywało się tak jak i huta, która mu nadawała charakter — Łabędy. W internacie było nas stu pięćdziesięciu chłopaków, zbieranina z całej Polski, różne gwary, różne pochodzenie i obyczaje, a najwięcej było warszawiaków i oni zaraz zaczęli rej wodzić.

Żyło nam się różnie. Warunki nie powiem, żeby były najlepsze, nawet dla nas, chłopaków ze wsi, którzy przecież do komfortu nie byli specjalnie przyzwyczajeni. Mieszkaliśmy w drewnianych barakach, w dużych salach, na piętrowych łóżkach, po szesnastu. Warunki sanitarne — fatalne. Świetlicy, radioodbiorników, telewizorów — ani słychu ani widu. Ale mnie i tak się podobało. Bo dla mnie, chłopaka ze wsi, wszystko było tutaj nowe. Nawet taka głupia rzecz — węgiel kamienny. Proszę sobie wyobrazić, że ja dopiero po przyjściu do internatu pierwszy raz w życiu zobaczyłem — na portierni — piec opalany węglem. Bo nawet we młynie w Księżomierzu paliło się w owych czasach grubymi polanami drewna. I tutaj taka mała dygresja: tak się ten widok, ten zapach węglowego pieca wrył w moją pamięć, że jeszcze dzisiaj, jak przypadkiem zaleci mnie swąd węglowego dymu, przypominam sobie dawne czasy w Łabędach i to moje pierwsze wejście do portierni. Tak. Stare dzieje. Do miasta chodziliśmy grupami po kilkunastu na przepustki — jak w wojsku — i nie obyło się przy tym nieraz bez bójki z miejscowymi chłopakami o panny, o miejsce na ławce w parku, o miejsce w kolejce do kina. Nasi warszawiacy lubili przewodzić, być w każdej sytuacji górą, a myśmy już, chcąc nie chcąc, szli za nimi, jako że — koledzy.

Ale Łabędy — jak mówiłem — to przede wszystkim huta. I oczywiście nasza praca w tej hucie. Uczyłem się na tokarza. Pamiętam pierwsze wejście do hali, gdzie stały obrabiarki. Zatkało mnie wtedy. Tyle maszyn. Dźwigni. Guzików. Przycisków. Kurków. Jak ci ludzie potrafią nacisnąć akurat to, co potrzeba? Byłem bardzo przejęty i wystraszony zarazem. Czy ja się kiedykolwiek w tym wszystkim rozeznam?

Pierwszy tokarz, u którego „terminowałem", nazywał się Kita. Starszy już facet, Ślązak. Z początku wydał mi się ponury jakiś. Jakby miał żal do mnie, że żyję, że istnieję, że mu przeszkadzam. „Posprzątaj przy maszynie, przenieś, wynieś, ręce przy sobie, stój, przyglądaj się, nie pchaj się do maszyny — to nie dla ciebie" i tak dalej i tak dalej. Myślałem — zawistny czy co? A on mnie tylko obserwował. Aż pewnego dnia powiada nagle: „stawaj na stanowisku, bierz się do uczciwej roboty. Tak sobie pomyśliłem, pierunie, że może uda mi się z ciebie zrobić człowieka". To był dobry fachowiec ten Kita. Złota rączka — jak powiadają, ale nie tylko. Ostrożny przy robocie. Nam się nieraz zdawało, że aż do przesady ostrożny, że to jakiś jego bzik albo co... A teraz myślę, że miał rację. On w nas „od urodzenia" wpajał żelazną dyscyplinę, jeśli chodzi o sprawy bezpieczeństwa przy pracy. Ja to już teraz mam

Dokończenie na str. 8—9

TRYBUNA

Do Robotników, Żołnierzy i Włościan!

Oto fotokopia pierwszej strony „Trybuny" — organu Komitetu Wykonawczego grup SDKPiL w Rosji z 28 października (10 listopada) 1917 roku. Lewica polska z entuzjazmem powitała wybuch Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, widząc w niej zapowiedź odzyskania niepodległości Polski. I nie zawiodła się. § 5 dekretu Rady Komisarzy Ludowych z sierpnia 1918 r. głosił: **„Wszystkie układy zawarte przez rząd b. cesarstwa rosyjskiego z rządami Królestwa Pruskiego i Cesarstwa Austro-Węgierskiego dotyczące rozbiorów Polski zostają ze względu na ich sprzeczność z zasadą samookreślenia narodów i rewolucyjnym poczuciem prawnym narodu rosyjskiego, który uznał niezaprzeczone prawo narodu polskiego do niepodległości i jedności, zniesione niniejszym w sposób nieodwołalny".**

teatrnn.pl

Paweł Dąbek przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu

W Lublinie odbyło się plenarne posiedzenie Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu. W związku z przejściem do innej pracy dotychczasowego przewodniczącego WK FJN Władysława Kozdry na stanowisko to powołano posła Pawła Dąbka, długoletniego działacza partyjnego i społecznego, obecnie dyrektora Wydawnictwa Lubelskiego.

Serdecznie gratulujemy!

Kultura 1971

Literatura

* W 75-lecie urodzin oraz 50-lecie pracy twórczej znany na Warmii i Mazurach poeta, publicysta i działacz kulturalny Teofil Ruczyński otrzymał nagrodę Ministra Kultury i Sztuki oraz odznakę Zasłużonego Działacza Kultury.
* Norwid staje się coraz popularniejszy w USA. W przyszłym roku ukaże się tom jego wierszy, tłumaczonych wspólnie — ze względu na znane trudności językowe — przez Zbigniewa Bieńkowskiego i poetów amerykańskich. Ponadto George Gömöri, z pochodzenia Węgier, wykładowca na wydziale slawistyki uniwersytetu w Cambridge, opracowuje na rynek amerykański małą monografię norwidowską.
* Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego również i w tym roku zorganizował cykl otwartych wykładów znanych pisarzy polskich, członków ZLP.
* Powieść Wiktora Woroszylskiego „Życie Majakowskiego" ukaże się we Francji, a w wersji nieco skróconej także we Włoszech.
* Jedno z wydawnictw w NRD wyda antologię 21 opowiadań polskich autorów oraz powieść St. Lema „Eden".
* W roku ub. w ZSRR ukazało się 48 pozycji polskiej literatury pięknej w nakładzie 2,2 mln egzemplarzy. W tym roku ma się ukazać 78 pozycji polskich.
* We Włoszech przyznaje się co roku 247 oficjalnych nagród literackich oraz około 300 prywatnych. Mimo to na rynku ukazuje się — z braku odbiorców — coraz mniej powieści. W roku 1968 ukazało się w 8 największych firmach 85 powieści, w następnym 60, a w 1970 już tylko 50. Wzrasta natomiast zainteresowanie literaturą polityczną i społeczną.

Teatr

* Andrzej Konic przygotowuje dla berlińskiej telewizji sztukę Stanisławy Muskat-Fleszerowej „Tam i gdzie indziej" z muzyką polskiego kompozytora Waldemara Kazaneckiego. Będzie to pierwsza inscenizacja polskiego reżysera w telewizji NRD. Na wiosnę Konic rozpocznie w kraju realizację siedmioodcinkowej serii telewizyjnej awanturniczo-przygodowej „Czarne chmury" o konfliktach polsko-pruskich z XVII w.
* Toruński Teatr Lalki i Aktora „Baj Pomorski" obchodził 25-lecie istnienia. W tym czasie wystawił on 119 sztuk w ponad 70 miejscowościach Pomorza, widzów było prawie 3 miliony.
* Międzynarodowy Instytut Teatralny zorganizował w Dourlan pod Paryżem spotkanie przedstawicieli 6 teatrów awangardowych celem wymiany informacji na temat metod pracy, poszukiwań artystycznych i perspektyw. W spotkaniu wzięła udział 9-osobowa delegacja krakowskiego teatru „Cricot II" z Tadeuszem Kantorem.
* Jerzy Krechowicz, (znany gdański malarz, grafik, twórca i reżyser znakomitych teatrów studenckich, pierwszego w Polsce teatru audiowizualnego plastyków „Galeria" — przez 3 miesiące pełni obowiązki kierownika i głównego reżysera międzynarodowego studium teatralnego w Amsterdamie.
* Teatr w Duesseldorfie przygotowuje sztukę D. Berriguana „Proces przeciwko dziewięciu z Cantonville" w reżyserii Kazimierza Dejmka i scenografii Lucji Kossakowskiej.
* W Kolonii odbyła się premiera sztuki Tadeusza Różewicza „Stara kobieta wysiaduje" w reżyserii Aleksandra Bardiniego.
* Reżyser, który narzuca swą koncepcję aktorowi, czyni z niego marionetkę — oświadczył Paul Scofield, obok Olliviera i Gielguda najwybitniejszy aktor angielski.
* „Stworzenie świata i inne historie" — to nowa sztuka Arthura Millera, która będzie zaprezentowana w okresie zimy. Obecnie autor pracuje nad dramatem, pokazującym Amerykę w ostatnim 40-leciu.
* W USA powstało towarzystwo, które zamierza prezentować na ekranach telewizyjnych wyłącznie sztuki, napisane i grane przez więźniów.
* Teatry w Kolumbii nie otrzymują żadnych dotacji państwowych, ich wpływy opierają się na sprzedaży biletów oraz zbieraniu dobrowolnych składek. W podatkach teatry traktowane są jak placówki handlowe.

Sztuka

* Konkurs Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego, ogłoszony na zlecenie Wydziału Propagandy i Agitacji KC PZPR, na plakaty z okazji 30 rocznicy powstania PPR, wygrał Bonifacy Sliwa z Tych, II nagrodę otrzymał Kazimierz Kopestyński z Warszawy.
* W warszawskiej Zachęcie czynna jest wystawa „Grafika w Polsce Ludowej", obejmująca 500 prac 106 autorów.
* Podczas robót drogowych w południowej części Gdańska odkryto resztki fortyfikacji gotyckich wraz z Bramą Raduńską, zbudowaną pod koniec XV wieku, a rozebranych przez Prusaków w XIX wieku.
* W renesansowej kamieniczce Orsetich w Jarosławiu, gdzie mieści się muzeum, odkryto resztki polichromii z XVII w. W związku z tym rzeszowski konserwator wojewódzki nakazał zbadanie wszystkich tego rodzaju kamieniczek w mieście.
* Wydawnictwo Morskie zainicjowało imprezy pt. „U wydawcy" — są to wernisaże autorów świeżo wydanych książek. Cieszą się one dużym powodzeniem u czytelników i bibliofilów, którzy przychodzą aby zdobyć książki z autografem autora.
* W jugosłowiańskiej Sremskiej Motrovicy tegoroczny sezon archeologiczny zakończył się odkryciem wielkiego hipodromu, na którym w 361 roku odbyły się wielkie zawody pojazdów dwukołowych.
* Z okazji 90 rocznicy urodzin Pablo Picassa w najpiękniejszej sali Luwru — Wielkiej Galerii, zarezerwowanej dotąd tylko dla nieżyjących a uznanych za klasyków twórców, otwarto wystawę jego dzieł.
* Mimo że rząd Szwajcarii do dzisiaj nie uznał NRD, w Zurychu odbyła się wystawa 286 arcydzieł z Muzeum w Dreźnie, obok obrazów również porcelany i wyrobów złotniczych. Nie przywieziono „Madonny Sykstyńskiej" Rafaela, gdyż stan obrazu nie pozwala na ryzyko transportu.

Muzyka

* Jedną z dwu równorzędnych nagród oraz złoty medal na konkursie dyrygentów im. H. Karajana w Berlinie zdobył Antoni Wit z Filharmonii Poznańskiej.
* Stefania Toczyska z Gdańska (mezzosopran) zdobyła w konkurencji 56 wybitnych artystów II nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Wokalnym w Tuluzie. I nagrodę zdobyła Nina Fomina z ZSRR.
* Filharmonia Moskiewska rozpoczęła swój 50 sezon muzyczny koncertem poświęconym twórczości Dymitra Szostakowicza, który ukończył właśnie 65 lat. Z powodu choroby kompozytor nie był obecny na koncercie, którym dyrygował jego syn, Maksym, laureat ostatniego konkursu dyrygentów.
* Symfoniczna Orkiestra z Chicago, jedna z najlepszych tego rodzaju w świecie, z okazji swego 80-lecia wybrała się w pierwszą podróż do Europy. W ciągu 6 tygodni da ona koncerty w 9 krajach. Jednym z najsławniejszych dyrygentów tej orkiestry był Polak Artur Rodziński.

Film

* Na festiwalu filmowym w San Remo I nagrodę ex aequo z filmem japońskim otrzymał obraz polskiego reżysera Krzysztofa Zanussiego „Za ścianą", a złoty medal za kreację aktorską w tym filmie Maja Komorowska.
* Tegoroczną nagrodę im. A. Munka za najbardziej interesujący debiut w filmie fabularnym zdobył A. Żuławski za „Trzecią część nocy".
* Po 10 latach przygotowań radziecki reżyser Mark Doński rozpoczyna nakręcanie dwuczęściowego filmu o Fiodorze Szaliapinie. Będzie to epicki obraz wybranych momentów z życia wielkiego śpiewaka. Film będzie kolorowy na taśmie 70 mm.

Różne

* Z inicjatywy konsulatu polskiego na cmentarzu Montmartre w Paryżu odnowiono grób Juliusza Słowackiego. Zwłoki poety w 1927 roku przewieziono na Wawel, ale jego grób w Paryżu jako pomnik przedstawia dużą wartość.
* W serbskim mieście Leskovac wprowadzono dla wszystkich mieszkańców bezpłatne bilety do teatru, rozpatruje się projekt bezpłatnego wstępu na wszystkie imprezy kulturalne i sportowe.
* W ostatnich 5 latach ukradziono: 22 dzieła Picassa, 10 — Renoira, 7 — Braque'a, po 6 — Chagalla, Pissara i Breughla, po 5 — Rembrandta i Rubensa, po 4 — Defreggera i Courbeta, po 3 — Maneta i Salvadore Dali itd.
* W Paryżu ukazała się niezwykła książka — niema powieść autobiograficzna Miguela Cervantesa. Niemal, bo Pierre Guenoun wybrał z dzieł autora „Don Kichota" te fragmenty, które mają charakter autobiograficzny i połączył je w całość.

Lubliniana

* Wśród laureatów dorocznych nagród Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej znalazł się lubelski naukowiec, doc. dr Zdzisław Cackowski.
* Już 25 lat pracuje w kulturze Regina Możdżeńska, kierownik klubu kolejarzy w Chełmie, jak również działaczka Stowarzyszenia Ziemi Chełmskiej.
* W dniach 11 i 12 października odbył się w Lublinie sejmik kulturalny związków zawodowych.
* 18 października występami krakowskiej Jamy Michalikowej rozpoczął się w Lublinie VI „Nasz Mały Festiwal", organizowany przez Estradę.

Kamena str. 2

LENIN – PAŹDZIERNIK

Państwowy Instytut Wydawniczy wydał ostatnio niezmiernie interesującą książkę, której autorem jest Węgier, Laszlo Gyurko p. t. „Lenin — Październik". W związku z 54 rocznicą Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej wybraliśmy z tej książki pewne fragmenty, które z pewnością zaciekawią naszych Czytelników.

(Red.)

W kolejce do fryzjera

Gil, kierowca Lenina, wspomina, jak to pewnego razu, bodajże w 1921 roku, Lenin wstąpił do fryzjera na Kremlu. Było wielu klientów, więc usiadł, wyciągnął z kieszeni jakieś czasopismo i zaczął czytać. Oczywiście, czekający chcieli go przepuścić, ale Lenin sprzeciwił się mówiąc, że trzeba przestrzegać porządku, przecież oni go ustalają, i że zaczeka, aż przyjdzie jego kolej.

W wieku, w którym żyjemy, na kopy opowiada się tego rodzaju anegdoty o wielkich przywódcach albo za wielkich uważanych. W dawnych czasach natomiast autorytet władcy wymagał wyróżnienia się od poddanych trybem życia, zwyczajami, a nawet zewnętrznym wyglądem. Z łaski przez Boga nadanej władca stawał się bożyszczem, do którego na równi z koroną, drogocennymi klejnotami i pałacami należała nieograniczona władza oraz prawo miecza. Schody wiodące do tronu symbolizowały różnicę, jaka dzieliła władcę od zwykłych ludzi; bożyszcze nie może mieć człowieczego oblicza, bo nie mogłoby być wówczas czczone.

Bić, uderzać

Podczas rewolucji — czy to się podoba, czy też nie — trzeba przeć naprzód, bić, uderzać. Łatwo to czynić temu, kto niczym zły lekarz zobojętniał już na śmierć i ludzkie cierpienie. Nie czuje się wdzięczności do przywódców, którzy szlak rewolucji znaczą zwałami trupów. Zdarzają się wśród nich tacy, którzy nie mogąc pogodzić się z cierpieniem, odwracają się od rewolucji. Lenin wybrał drogę „piekielnie trudną": pomimo wewnętrznych rozterek i wbrew pięknemu wizerunkowi nakreślonemu przez Gorkiego, uśpiwszy wyrzuty sumienia brał na siebie pełną odpowiedzialność za wszystkie ciosy, które trzeba było zadawać, gdy zachodziła tego potrzeba. Ale właśnie jego cierpienie stanowiło gwarancję, że nie uderza niepotrzebnie. Był politykiem w każdym calu, który całe swoje życie, wszystkie uczucia podporządkował regułom politycznej walki. Z tym tylko, że dla niego polityka oznaczała coś innego od ogólnie przyjętego pojęcia: była nie tylko strategią i taktyką postępowania, lecz stanowiła także zespolenie teorii i praktyki, o jakim dotąd w historii w ogóle nie było mowy.

Nie zamykał drogi powrotu

Jakże charakterystyczne dla jego polityki, dla jego poglądów są kontakty z najbliższymi współpracownikami! Cenił ich bardzo, ale nigdy nie przymykał oczu na pomyłki i błędy. Kiedy dochodziło do różnicy zdań w dziedzinie poglądów politycznych, wówczas bronił swojej prawdy z zaciętym uporem i nie mógł go przekonać nawet najlepszy przyjaciel. Właściwie to nie było takiego przywódcy w partii, z którym Lenin nie poróżniłby się w kwestii spraw podstawowych. Przez całe życie wiódł spór z Plechanowem, dla którego zresztą żywił duży szacunek aż do momentu ostatecznego z nim zerwania, co nastąpiło wówczas, kiedy to *gospodin* rosyjskich rewolucjonistów serdecznie pozdrawiał ochotników wyruszających na front. Trocki już w 1903 roku nazwał Lenina „rozbijaczem partii" i choć w czasie rewolucji stanął po jego stronie, to jednak Lenin potem jeszcze kilka razy gwałtownie się z nim starł. Bucharin zrzekł się wszystkich swoich partyjnych i państwowych funkcji z powodu zawarcia pokoju. Ze Stalinem musiał toczyć ciężkie boje w sprawie zjednoczenia republik. Zinowjew i Kamieniew opuścili go w najbardziej decydującej chwili, w wieczór poprzedzający wybuch zbrojnego powstania. Łunaczarski, kiedy dowiedział się, że oddziały Czerwonej Gwardii otworzyły ogień artyleryjski na Kreml, z płaczem wybiegł z posiedzenia Rady Komisarzy Ludowych i na znak protestu złożył rezygnację ze swoich funkcji. A jednak mimo to wszyscy ci ludzie, którzy wielokrotnie ostro starli się z Leninem, pozostali aż do samej jego śmierci najbliższymi współpracownikami. Składali dymisje, rezygnowali ze swych funkcji, a potem przyjmowali je na nowo. Lenin zaś nigdy nie zamykał im drogi powrotu. Gwałtownie i bezlitośnie atakował swoich przeciwników, nie szczędząc im epitetów i gniewnych wykrzykników, ale jednocześnie doceniał ich uzdolnienia oraz przydatność dla rewolucji. Był politykiem: nigdy nie atakował ludzi, lecz ich politykę. Interesowała go przede wszystkim prawda obiektywna. Nigdy zaś nie dążył, by racja była tylko po jego stronie.

Po dwóch stronach

Ani niedołężny car, ani nerwowo chora carowa, ani też opętany Rasputin nie doprowadzili bynajmniej rosyjskiej monarchii do bankructwa. Nie uczynili tego również rewolucjoniści. Do jej upadku przyczyniła się niewątpliwie głupota władców oraz wytrwałość rewolucjonistów, ale rewolucję zrodziły znaczne potężniejsze siły.

Po jednej stronie było jedno z najpotężniejszych mocarstw świata, z wielomilionową armią, policją, urzędnikami — po drugiej zaś kilka lub kilkadziesiąt tysięcy rewolucjonistów, na dodatek jeszcze większość z nich w więzieniach, na zesłaniu i na emigracji. To była Rosja. Ale obraz ten można przedstawić również następująco: po jednej stronie kilkuset tępych i przekupnych polityków, carowa i faworyci Rasputina, kilka tysięcy dobrze odżywionych policjantów, dobrze opłacanych wyższych urzędników, wiernych oficerów — po drugiej zaś sto milionów umęczonych i wyzyskiwanych nędzarzy, czyli po prostu zrozpaczony, zdesperowany naród. Po jednej stronie głupota, zabobon, średniowieczna ciemnota — po drugiej zaś nienawiść, poświęcenie i gotowość na wszystko. I prawda.

Na darmo rozbijano organizacje bolszewickie — odradzały się wciąż na nowo. Jeśli nawet w ciężkich czasach wielu partię opuściło, to jednak pozostało jej jądro, które kontynuowało pracę również i na emigracji, w podziemiu i na wygnaniu, a gdy tylko ucisk nieco zelżał, znów grupowało wokół siebie dziesiątki tysięcy rewolucjonistów.

I to jądro było nieustannym źródłem odnowy partii; nie dało się go zniszczyć, bo oznaczało ono nie tylko kilka tysięcy rewolucjonistów, ale również i ideę.

Nie ma prawdy i nie ma idei, której nie można by przemocą unicestwić. I nie idea rodzi rewolucję, lecz dojrzewanie rewolucji potwierdza i umacnia ideę. Prawda z zetknięciu z władzą tylko wówczas może coś znaczyć, kiedy nie jest jedynie logicznym i moralnym tworem, lecz kiedy wyraża się w niej konieczność epoki. Wtedy bowiem staje się ona silniejsza od każdej władzy; nie można jej zniszczyć przemocą, podczas gdy władza sama od niej ginie.

Przeciw wojnie

Nazajutrz po powrocie do kraju Lenin oświadczył, że najważniejsza sprawa to zajęcie stanowiska wobec wojny. Właśnie przez zajęcie takiego a nie innego stanowiska wobec wojny nastąpił pierwszy kryzys rządowy; to wojna doprowadziła do koalicji socjalistów i burżuazyjnych polityków, to przez wojnę doszło do wielkich masowych demonstracji i po raz pierwszy od czasów wybuchu rewolucji polała się krew. To ona doprowadziła do upadku ministrów i gabinetu, to przez nią tracili autorytet jedni przywódcy partyjni, a drudzy jej zawdzięczali spopularyzowanie swoich nazwisk w całym kraju. Powiedz, co myślisz o wojnie, a powiem ci, kim jesteś! Oto jaki był główny znak rozpoznawczy w rewolucyjnej Rosji.

Wojna miała wpływ na losy stu milionów ludzi w Rosji. Zagrażała życiu piętnastu milionów. Tej potężnej siły nie mogli pominąć w swoich rachubach ani jeden polityk. W lutym również, kiedy piotrogrodzki garnizon przyłączył się do demonstrantów, szale przechyliły się na korzyść rewolucjonistów.

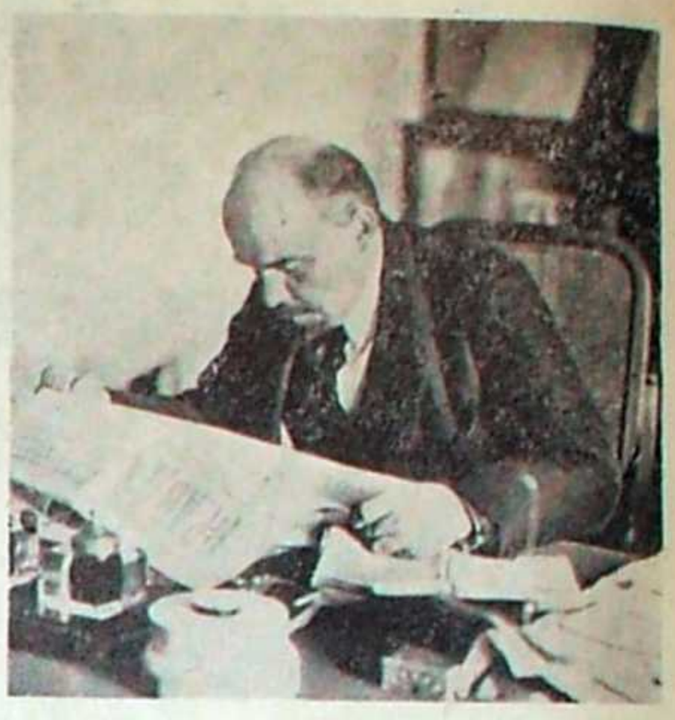

Piętnaście milionów ludzi w szarych szynelach, podobnie jak w pierwszych dniach rewolucji, tak i podczas wiosennych miesięcy, tkwiło w inercji. Póki ich nie zmuszono do czynu, nie mogli się na nic zdecydować. Patriotyzm i poczucie obowiązku walczyło w nich z rozpaczą i głodem; posłuszeństwo, przyzwyczajenie i poszanowanie prawa — z nienawiścią i poczuciem sprawiedliwości. Z uwagą słuchali każdego słowa i przechowywali je w swej pamięci, by kiedyś je wykorzystać. Gdy ktoś pięknymi słowy przypominał im o patriotycznych obowiązkach — wiwatowali. Gdy ktoś mówił im, że przelewają krew w interesie bogaczy — podrzucali go do góry. Ale aby mogli podjąć decyzję, potrzebne im były nie tylko słowa.

Gniew, namiętność, ironia

Mówią, że styl to człowiek. Ale określenie to nie jest precyzyjne.

Styl Lenina był suchy, zwięzły; Lenin nie przejmował się formą. Nie stosował kwiecistych porównań, a jeśli już używał takich zwrotów, to raziły one w tekście, nie pasowały. Nie ma śladu sentymentalizmu w jego pismach, bardzo rzadko używa pierwszej osoby liczby pojedyńczej. Ta bezosobowość jest zarazem dowodem braku pozerstwa, całkiem mu bowiem była obca pogoń za wywieraniem wrażenia. Za to o wiele bardziej bliskie są mu: gniew, namiętność, ironia. A najbardziej bliska — logika. Do tej pory wszystko się zgadza: styl to człowiek, ale jednocześnie ogromna ilość pism Lenina jest w swej stylistyce rozwlekła, pobieżna. Mimo że podstawową cechą natury Lenina była zdolność koncentracji, lapidarność, dokładność.

Styl to nie tylko człowiek, to także jego zadanie. To, co napisał wczoraj, musiał na nowo streszczać dziś, jutro i pojutrze tym, którzy jeszcze nie zapoznali się z tekstem. A sama myśl, czysta logika są trudno zrozumiałe dla ludzi, których chlebem powszednim nie jest praca umysłowa. Wszystkie te prawdy trzeba im było podać przełute, by je zrozumieli, stale powtarzać to, co raz już zostało powiedziane.

Kiedy rozpoczęła się walka?

Powstanie nie zaczyna się bynajmniej wtedy, kiedy rozlega się pierwszy strzał. W czasie dyskusji w dniu 16 października rację mieli ci, którzy mówili: walka już się rozpoczęła. Rozpoczęła się wtedy, kiedy Rada Piotrogrodzka zorganizowała Komitet Wojskowo-Rewolucyjny; kiedy 15 października dowództwo garnizonu uchwaliło rezolucję, że bez zgody Rady nie pozwoli wyprowadzić ze stolicy ani jednego oddziału.

Potem wszystko już potoczyło się błyskawicznie. 18 października garnizon stołeczny postanowił, że wykona tylko te rozkazy, które zaakceptowane zostaną przez Radę, i tym samym podporządkował się bolszewickiemu Komitetowi Piotrogrodzkiemu; 20-tego Komitet Wojskowo-Rewolucyjny do wszystkich oddziałów delegował swoich komisarzy i tym samym praktycznie przyjął dowództwo nad garnizonem; 22-go ogłoszono „Dniem Rady Piotrogrodzkiej" i w każdym oddziale oraz w każdej fabryce przeprowadzono wiece, na których jawnie mówiono o potrzebie powstania. Tego samego dnia licząca dwadzieścia tysięcy uzbrojonych żołnierzy Czerwona Gwardia przeprowadziła swoją konferencję. Czyżby więc mieli rację ci, którzy mówili: nie nie trzeba robić, wszystko potoczy się własną drogą, powstanie i tak jest nieuniknione i sam lud spowoduje jego wybuch bez żadnej inspiracji?

Wszystko to, oczywiście, wyglądało tak, jakby było spontanicznym dziełem ludu. I wszystko odbywało się tak jawnie, jak i poprzednio. Nie można było przyczepić się do tego, co jest ogólnie wiadome.

...Gdyby robotnicy nie byli dalece zrozpaczeni, gdyby żołnierze nie nienawidzili do tego stopnia wojny, zapewne nie byłoby w Piotrogrodzie rewolucji. Ale w końcowym efekcie okazało się, że rację miał Lenin. W październiku rząd został obalony przez kilka tysięcy doborowych, dobrze uzbrojonych żołnierzy i robotników, których przygotowywano do tej akcji w największej tajemnicy i z największą pieczołowitością, a nie jak to było w lutym przez roznamiętniony tłum.

(podtytuły redakcyjne)

Marzenia i pysk

Maciej Podgórski

TAKI jednopiętrowy drewniak, pomalowany na zielono, mógł zostać zjedzony przez kozy, boć i to można sobie wyobrazić, skoro na przykład jednemu obywatelowi — niech wszelkie proporcje zostaną zachowane — szczury zjadły „Trabanta". Ale drewniak po prostu spalił się tegorocznym gorącym latem do imentu, tak że teraz kwiatki już na nim dawno zwiędły, a trawka zżółkła i wyłysiała, czyli wszelki wid zaginął. Tym sposobem Parczew jest w tej chwili, i jeszcze raczej długo będzie, jedynym miastem powiatowym na Lubelszczyźnie, a może nawet i w całej Polsce, które absolutnie nie posiada powiatowego domu kultury. Mówię: „absolutnie", albowiem choć Hrubieszów także zasadniczo nie posiada, to istnieją tam na pięterku jakieś klitki, gdzie się robotę tzw. kulturalną usiłuje prowadzić, a z piwnicy obiektu to już nawet wyprowadzono czeredę bezdomnych piesków.

Więc Hrubieszów raczej nie powinien narzekać, szczególnie w porównaniu z Parczewem. Co się natomiast tyczy tego ostatniego, to się dowiedziałem, że „oficjalnie" będzie odmowa budowy nowego domu kultury, ale „nieoficjalnie" coś chyba zostanie załatwione. Może jeszcze pod koniec tej pięciolatki. Ano pożyjemy, zobaczymy. Bądź co bądź, w obliczu 570 lat istnienia miasta, jest to perspektywa nie taka znowu przerażająca. Parczew zresztą potrafi wytrzymać nie tylko to, skoro będąc od szesnastu lat siedzibą powiatu, zadowolił się jedyną dotąd na cały powiat księgarnią. Jedna księgarnia (48 m²) na przeszło 40 tys. ludzi. Znów rewelacja na skalę wojewódzką, jeśli nie krajową. I znowu tylko Hrubieszowskie może stawać do konkurencji, gdzie wprawdzie istnieją dwie księgarnie (łącznie — 220 m²), lecz na każdą przypada 52 tys. ludzi. Smutek mnie obrósł cierpieniem i trwam wspaniale żałobny — jak powiada poeta.

Ciężko teraz dociec, dlaczego w Parczewskiem nie skorzystano z szansy zbudowania pawilonów księgarskich, jaka istniała w latach 1960—1969 z racji ogólnopolskiego funduszu prezesa Rady Ministrów, specjalnie na te cele przyznanego. Obecnie w powiecie nie bardzo nawet pamiętają, że taki fundusz w ogóle istniał. Dyrektor Wójcik z „Domu Książki" w Lublinie twierdzi: „Entuzjazmu nie wykazywano, ani komitet, ani powiatowa rada. Owszem, wytypowali na budowę pawilonu miejscowość Jabłoń, lecz tam niewiele ludzi mieszka. Tylko Sosnowica mogła być wzięta pod uwagę. Teraz z inwestycjami krucho, nie ma mowy, żebyśmy coś budowali, najwyżej możemy się włączyć". A co z rozbudową istniejącej (na szczęście nie w drewniaku) księgarni? — „W Parczewie niezbyt chętnie o tym rozmawiają, bo trzeba by zlikwidować przynajmniej jeden sklep obok". Michał Łokaj, sekretarz propagandy KP PZPR: „Dyrektor Wójcik przesadza, myślimy o rozbudowie księgarni".

Zatem myślą i ponoć myśleli dawniej, tylko jakoś nie zdążyli, skoro w tzw. międzyczasie powiaty: Biłgoraj i Chełm zafundowały sobie po cztery pawilony, zaś Biała Podlaska, Bełżyce i Krasnystaw — po trzy. Widać w Parczewskiem są pilniejsze potrzeby niż kultura i nad ich zaspokojeniem przede wszystkim dumają władze powiatowe. Bałbym się kategorycznie przesądzać o pierwszeństwie takich czy innych potrzeb, albowiem łatwo tutaj uwikłać się w koszmarny dylemat: bądźmy biedni i szczęśliwi, czy też bogaci i głupi. Faktem w każdym razie jest i dla terenu mechanizmem typowym, że nie sprawami kultury przejmują się administratorzy.

Samo miasto Parczew posiadało w 1970 roku wskaźnik zagęszczenia 1,49 osoby na jedną izbę (dla porównania: średnia wojewódzka — 1,46; Włodawa — 1,40; Radzyń — 1,37; Lubartów — 1,36). Zatem kwestia mieszkaniowa. Rzeczywiście, gdy się spaceruje po mieście, widać sporo parterowego budownictwa drewnianego. Domki przeważnie na zewnątrz schludne, lecz nadmiernie zagęszczone, nie mówiąc już o tym, że zazwyczaj nie podłączone do miejskiej sieci wodno-kanalizacyjnej. Zresztą 23 budynki (59 mieszkań) grożą zawaleniem i mają nakaz rozbiórki, gdyż nie dadzą się już remontować. Mimo to ludzie nadal tam muszą mieszkać. Czternastu rodzinom wypadałoby dać locum n a t y c h m i a s t. Wnioski na mieszkanie z puli rad narodowych złożyły 204 rodziny. Na spółdzielcze szczęście mieszkaniowe oczekuje 239 rodzin. W budowie są dwa państwowe bloki po 20 mieszkań (termin: I półrocze 1972) oraz jeden spółdzielczy, też 20-rodzinny. W przyszłym roku rozpoczną 60-rodzinny blok spółdzielczy. Oto są bieżące możliwości i oto są aktualne potrzeby.

Abstrahując od faktu, że realizowane bloki 20-mieszkaniowe (LT-4) są nieekonomiczne i niewygodne (największy lokal to M-3), a więc należałoby je właściwie wycofać z zestawu wojewódzkiego, cała sprawa budownictwa mieszkaniowego w Parczewie i tak ma krótkie nogi. Rozbija się bowiem o kwestię urządzeń wodno-kanalizacyjnych. Istniejące urządzenie miało zabezpieczyć potrzeby nowego budownictwa do 1965 roku. Ponieważ w ubiegłej pięciolatce zabrakło limitów na inwestycję wodno-kanalizacyjną, przeto stara działa, bo musi, dotąd. Efekty? Kilka razy dziennie brak wody w całym Parczewie. Ponadto lokalny osadnik ścieków jest przeciążony, a koszt jego eksploatacji znacznie zwiększony. To może w ogóle zahamować budownictwo mieszkaniowe. Potrzeba też nowej, dużej kotłowni. Na 16 istniejących bloków (spółdzielczych i państwowych) w dwunastu ludzie palą w piecach, tylko cztery są podłączone do wybudowanej w 1967 roku jednej z dwu niewielkich kotłowni. Jeśli ta sprawa nie zostanie rozwiązana, to w nowych blokach nadal będą straszyć piece kaflowe; i jeśli tylko nowe bloki będzie można budować.

Trudno się nawet dziwić w tym kontekście, że gdy na kwestie kultury spojrzeć z doraźnej perspektywy miasta i powiatu, to kwestie owe poczynają gwałtownie blednąć. Tym więcej, że ciągle istnieje problem jeszcze bardziej elementarny. Zatrudnienie. W 1969 roku ludność powiatu liczyła 41 672 osoby, w 1970 roku — 40 269 osób. W dużym stopniu to rezultat migracji w poszukiwaniu pracy. Oblicza się, że nadwyżka siły roboczej ludności czynnej zawodowo wzrośnie w latach 1971—1975 z 1504 osób do 1982 osób na terenie całego powiatu. Dane obejmują zarówno gospodarkę uspołecznioną, jak i rolnictwo. W samym mieście poszukuje pracy co najmniej od roku około 300 kobiet i 40 mężczyzn. Jeśli idzie o Parczewskie, to na 5446 osób zatrudnionych w 1970 roku w gospodarce uspołecznionej tylko 2600 znajduje pracę w powiecie, reszta dojeżdża poza powiat. Spośród 1026 osób zatrudnionych w przemyśle poza granice powiatu dojeżdża 326 osób. Liczb tu namnożyłem wiele, bo też z jakiejkolwiek strony spojrzeć, sytuacja z zatrudnieniem nie wygląda w Parczewskiem wesoło.

Kiedy się jeździ po terenie i kiedy częstokroć rozmawia się o kłopotach z budownictwem mieszkaniowym i miejscami pracy, wówczas najczęściej słyszy się od władz lokalnych: NIE MAMY PRZEMYSŁU, ZA DROBNY PRZEMYSŁ. Myślę, że niezależnie od mniej lub więcej przekonywających uzasadnień, jest to relikt dawnego pojmowania rzeczy. Inwestycje przemysłowe istotnie i niejako w sposób automatyczny mogą rozwiązać wiele kwestii, ale czy zawsze są dla regionu rozwiązaniem optymalnym, gdyby na to spojrzeć z perspektywy ponadpowiatowej czy nawet ponadwojewódzkiej? Czy zawsze akurat muszą to być takie inwestycje, jakie się zamarzą miejscowym władzom?

Rozważmy to na przykładzie Parczewa, który to przykład zresztą bynajmniej nie jest jednoznaczny, tak że sprawy nie ośmieliłbym się ostatecznie przesądzać, a jedynie chciałbym nad nią głośno pomyśleć. Otóż w Parczewie zamarzono sobie filię lubelskiej FSC jako cudowne antidotum na wszelkie problemy. Nie twierdzę — choć i tak czasem bywało — że władze parczewskie wędrowały po ministerstwach czy zjednoczeniach, szukając przychylnych koniunktur i znajomości oraz podpowiadając na korzyść swego terenu uzasadnienia propagandowo-politycznej natury, które — obok uzasadnień ekonomicznych — także są brane pod uwagę przy rozpatrywaniu wariantów lokalizacyjnych. Faktem w każdym razie jest, że choć sprawa filii FSC w Parczewie walkuje się jeszcze z poprzedniej pięciolatki — od początku istniała zgoda odpowiedniego zjednoczenia, samej fabryki, jako też i władz wojewódzkich.

W piśmie WKPG do FSC z dnia 25 VIII 1970 roku czytamy: *Rozwiązanie problemu zapewnienia miejsc pracy dla występujących w powiecie* (parczewskim) *nadwyżek siły roboczej, wobec dużego rozdrobnienia gospodarstw i stosunkowo słabych gleb, jest możliwe tylko poprzez rozwój przemysłu.* Inne pismo WKPG także przytacza argumenty ważkie: rozwiązanie kwestii urządzeń wodno-kanalizacyjnych i źródła ciepła, zatrudnienie dla absolwentów miejscowej zasadniczej szkoły zawodowej ze specjalnością ślusarz (w latach 71—75 będzie ich 244), perspektywa otwarcia technikum mechanicznego, rozwój zakładowego i spółdzielczego budownictwa mieszkaniowego, handlu, usług... Docelowe zatrudnienie — blisko 2 tys. osób. W momencie rozruchu — 600—800 osób. Cały czas idzie o filię FSC.

Tylko że moment rozruchu jeszcze bardzo daleko, skoro nawet moment rozpoczęcia budowy właściwie na... wodzie pisany. Dnia 26.II.1971 roku Komisja Planowania przy Radzie Ministrów skierowała do przewodniczącego WRN w Lublinie pismo, gdzie m.in. czytamy: *Jeśli chodzi o budowę filii lubelskiej FSC w Parczewie, to obecnie w Resorcie rozważana jest możliwość przeniesienia oddziałów produkujących normalia do zakładu filialnego w Parczewie. Ocenia się, że inwestycja ta może być opłacalna w przypadku ustalenia poziomu produkcji samochodów dostawczych w ilości około 50 tys. sztuk rocznie.* Taka jest twarda rzeczywistość ekonomiczna, gdyby spojrzeć na kwestię z perspektywy krajowej. A więc tylko „rozważana jest" i tylko „możliwość". W 1969 roku FSC produkowała 14 100 sztuk samochodów dostawczych. Obecnie wyjdzie na około 20 tys. Za ile lat przy tej dynamice wzrostu produkcji osiągnięta zostanie magiczna dla Parczewa liczba 50 tys.?

Ale w Parczewie czekają i marzą. Podejrzewam, iż zaczną się teraz zastanawiać nad przeprofilowaniem planowanej filii FSC. Tymczasem gołym okiem widać tu potrzeby gospodarcze, o których należy myśleć już w tej chwili i których szybkie rozwiązanie mogłoby stworzyć całkiem krzepiące dla powiatu perspektywy. Dla powiatu — jak informuje zastępca przewodniczącego Prezydium PRN, Ryszard Piechan — dotowanego przez państwo średnio około 60—65 proc. rocznie, a więc posiadającego ujemny bilans ekonomiczny.

Fakt, że gleby tutaj słabe, że gospodarzy 32 proc. rolników w wieku powyżej 60 lat, że młodzi uciekają ze wsi, że rośnie państwowy fundusz ziemi, że sporo gleb podmokłych. W związku z tym plony z hektara nie osiągają nawet średniej wojewódzkiej i przeważają gospodarstwa tradycyjne. Lecz czy w tej sytuacji nie istnieje pilna potrzeba podniesienia — niskiej w tym powiecie — kultury rolnej (choćby regularnie nie osiągające średniej wojewódzkiej zużycie nawozów)? Nie maltretuję już czytelnika odpowiednimi cyframi, bo te aż nazbyt dobrze są znane administratorom powiatu. Lecz widzę jedną zasadniczą szansę dla Parczewskiego. Otóż ten mały powiat posiada przecie jeden z największych w województwie areałów łąk i pastwisk, a zarazem ma niższe od średniej wojewódzkiej wskaźniki hodowli (poza owcami), szczególnie bydła. Siano — co tu kryć — gnije niejaz na łąkach, jak stwierdzają miejscowi chłopi, choć zaprzeczono temu w Prezydium PRN, twierdząc, iż powiat sprzedaje rocznie około 4 tys. ton nadwyżki produkcyjnej siana (czy to aby cała nadwyżka?).

O czym więc należy myśleć? O zasadniczych inwestycjach w rolnictwo, a głównie — bo takie są potencje powiatu — w hodowlę bydła rzeźnego i mlecznego — sprawa dziś zasadnicza dla całego kraju. Ile tu kwestii: tempo budownictwa wiejskiego (obory, chlewnie), redukcja nie przystosowanych projektów typowych w zakresie tego budownictwa (tak żeby dorodny buhaj nie mógł obórki rozwalić, gdy się zbiesi), niedostateczna sieć GS-ów w powiecie, rozwój szkół przysposobienia rolniczego i zasadniczych szkół rolniczych (bo nie można faktem istnienia szkoły metalowej motywować potrzeby filii FSC, jako że sieć istniejącego na Lubelszczyźnie szkolnictwa nie we wszystkim jest przystosowana do potrzeb gospodarki terenu)...

Oczywiście ta hodowlana perspektywa Parczewskiego wymaga początkowo poważnych środków inwestycyjnych, które się w samym powiecie nie narodzą. Ale ponieważ środki te idą i tak z pieniędzy państwowych, więc można by się zastanowić, czy lepiej jest ratować budownictwo, gospodarkę komunalną miasta i rozładowywać nadwyżkę siły roboczej całego powiatu metodą fundowania dość sztucznych w rolniczym regionie inwestycji przemysłowych, które samemu rolnictwu tylko trochę pomogą, czy też po prostu rozkładać b e z p o ś r e d n i o pieniądze dla rozwoju miasta i rolnictwa, z myślą o przyszłości całego obszaru kanału Wieprz-Krzna?

Czy to oznacza, że przemysł w ogóle się Parczewskiemu nie należy? Bynajmniej. W latach 68—70 rozważano w WKPG aż jedenaście wariantów inwestycji, pośród których znajdował się ten powiat. Wielka szkoda, że wskutek niedogodnych warunków terenowo-gruntowych nie doszło do realizacji wytwórni pasz w samym Parczewie. Inwestycję przeniesiono do Radzynia, gdzie jej... nie zbudowano dotąd. A może by tak jeszcze raz dokładnie zbadać warunki parczewskie? Bo, moim skromnym zdaniem, powiat jest predestynowany głównie do przemysłu towarzyszącego rolnictwu. Może mniejsze niż filia FSC, lecz więcej tych zakładów? Wprawdzie przetwórnie mięsne w Zamościu, Lublinie i wkrótce w Łukowie zabezpieczają obecnie całe województwo (tak samo jak istnieje aktualne zabezpieczenie w produkty przetwórstwa mlecznego), ale po 1975 roku potrzeby wzrosną i już teraz widać konieczność na przykład zakładu serowarskiego. Skoro więc filia FSC tak odległa, może by w Parczewie pomyślano o takim zakładzie?

Na koniec wrócę jeszcze do sprawy nieszczęsnego domu kultury w Parczewie. Sekretarz Prezydium PRN, Czesław Mikołajczuk, powiada, że marzy im się obiekt dla potrzeb miasta 50-tysięcznego (dziś Parczew liczy blisko 8 tys. mieszkańców). Nietrudno odgadnąć, co stoi za takimi marzeniami — inne marzenia. O Parczewie jako dużym ośrodku przemysłu węglowego (przemysł wydobywczy i pochodne), bo przecież Parczew częściowo leży na lubelskim węglu. J e ż e l i n a w e t marzenia o lubelskim zagłębiu węglowym są realne, to nie zapominajmy, że to perspektywa na lata, jeśli nie na dziesiątki lat (jedną kopalnię buduje się właśnie dziesięć lat). Nie zapominajmy o lasach parczewskich, a wiem, że Zjednoczenie Przemysłu Płyt Sklejek i Zapałek rozważa kwestię lokalizacji w powiecie zakładu płyt wiórowych (zabezpieczone są już środki w projekcie pięciolatki). O tym nie potrzeba nawet marzyć, to realna i bliska możliwość. I jeszcze jedno — kiedy tak się wsłuchiwałem w wypowiedziane i bezsłowne marzenia władz parczewskich i kiedy później o tym myślałem, to przypomniał mi się chuderlawy... pysk krowi, zobaczony przy drodze. „To jest krowina, a nie krowa, panie" — powiedział właściciel, kiedy go spytałem o mleczność inwentarza. Tym sposobem tytuł mojego artykułu stracił metaforyczno-literacki sens, a stał się wyrazem całkiem realnych dylematów.

Gdzieś w powiecie

(Przed VIII Wojewódzkim Zjazdem ZMW)

Andrzej Pawluczuk

WIEŚ Horodyszcze w powiecie włodawskim była kiedyś miastem. Tak mówią tutejsi ludzie i pokazują mi pałac, oznakę dawnej świetności, w którym teraz mieszkają ludzie i konie. Dzisiejsze kłopoty rodziny Chwedczuków nie są jednak pozostałością dawnych czasów, jak ów osiemnastowieczny zabytek.

W słowach Jana Chwedczuka nietrudno wyczuć zniechęcenie. Mówi:

— Moim marzeniem było, aby oni dwaj gospodarzyli.

Słucham jego wynurzeń, czekając na syna gospodarza, Józefa, przodującego rolnika, delegata na wojewódzką konferencję Związku Młodzieży Wiejskiej. I dziwię się literackiej polszczyźnie mojego rozmówcy, nieczęsto spotykanej wśród starszego pokolenia wsi. Na stole w kuchni, gdzie rozmawiamy, leży kilkanaście książek. Kiedy przeglądam podręcznik sadownictwa, dowiaduję się, że Józef założył właśnie nowy sad.

— Bo widzi pan, on ma do tego głowę. I żeby mu tak dali gospodarzyć, byłoby to gospodarstwo na medal. Czy zgadnie pan, ile miał on w tym roku pszenicy z hektara?

Wymieniam liczbę 35, która osiągnięta przez wszystkich załatwiłaby nasze kłopoty ze zbożem.

— Czterdzieści dwa. I niech pan doda do tego kilka lat pracy i dokładnego liczenia każdego kilograma nawozu. Gospodarka z ołówkiem w ręku to jego podstawa.

Kiedy w Zarządzie Wojewódzkim ZMW prosiłem o kilka adresów delegatów na konferencję wojewódzką, powiedziano mi, gdy zapisywałem nazwisko Józefa Chwedczuka, że byłoby dobrze, gdybym napisał o jego kłopotach z przepisaniem gospodarstwa.

Wszystko zaczęło się dwa lata temu, kiedy to nieurodzaj uniemożliwił Janowi Chwedczukowi wywiązanie się z obowiązkowych dostaw. Postanowił wówczas sprzedać połowę ziemi, aby uwolnić gospodarstwo od nadmiernych podatków. „Jeden taki rok wszystko położył". Zaległości urosły szybciej niż wydajność. Do tego wszystkiego dołączyła się jeszcze tegoroczna susza, wynikły z niej nieurodzaj ziemniaków sprawę pogorszył.

Jan Chwedczuk mówi:

— Ja lubię gospodarkę. Ja bym i za pięć tysięcy nie poszedł na stanowisko urzędnicze. Ale co robić, trudno u nas gospodarzyć.

Jeden syn, Ryszard, pracuje już w mieście. Drugi — Józef, bardzo dobry rolnik, nie może w obecnych warunkach postawić gospodarstwa na nogi.

Fakt, że Józef jest dobrym rolnikiem, potwierdza dyplom przyznany mu przez Prezydium Zarządu Powiatowego ZMW za duże osiągnięcia w konkursie Młody Mistrz Urodzaju oraz odznaka Młodego Mistrza Urodzaju.

Do sprzedaży ziemi w końcu nie doszło. Gromadzka Rada Narodowa poradziła ojcu przepisać część ziemi na syna. Sąd Powiatowy we Włodawie, do którego sprawę wniesiono, wyraził zgodę. Wydawało się więc, że wystarczy już tylko dokonać zmiany w aktach GRN i będzie po kłopocie. Tymczasem władze powiatowe zaczęły stawiać przeszkody. Trzeba było dopiero powołać się na tak oczywistą rzecz, iż wyroki sądu są prawomocne, by władze wojewódzkie usankcjonowały podział gospodarstwa. Ale... O tym później.

Pytam, czy osiemnaście hektarów nie jest tym samym, co dwa razy po dziewięć? Okazuje się, że moja logika nie wystarcza do zrozumienia tych ludzi i ich spraw, za którymi wydeptali już ścieżki do wszystkich możliwych urzędów. Zniechęcenie i rezygnacja to nie jedyny i „mam nadzieję, nie finał tej jakże typowej u nas historii, w której zdrowy rozsądek i racje ekonomiczne stanęły w zapasy z mniej rozsądnymi przepisami.

Mówi Józef:

— Mimo niezałatwienia naszych spraw, ojciec zgodził się, abym samodzielnie gospodarował na swojej części. Ale, aby z ziemi coś mieć, trzeba jej najpierw dać. Inwestycje w rolnictwie pochłaniają dużo pieniędzy, a rezultaty nie przychodzą natychmiast. Połowę swojej ziemi obsiewam pszenicą. Założyłem sad, z którego widoczne efekty miał będę dopiero za kilka lat. A do tego czasu będę musiał wkładać w niego sporo pieniędzy. Bo ja nie myślę tylko o tym, co mam dzisiaj, ale przede wszystkim o tym, co będzie. I ja chcę mieć gospodarkę nie tylko dla siebie. Sytuację w rolnictwie mamy trudną, ale to nie znaczy, żeby od rolnictwa uciekać, jak robią to inni. Bo ja panu powiem, że to nie sztuka zasiać len albo konopie i zebrać kilkanaście tysięcy i mieć spokój. A jak zaczną robić tak wszyscy, to co wtedy? Zostaniemy bez chleba i mięsa. I chodzi mnie o to, by pozwolono mi postawić gospodarstwo na nogi.

Idziemy do obory. Tym razem ojciec wybawia syna od chwalenia się sukcesami. Gromada dorodnych świnek kosztowała Józefa sporo zachodu i pracy. Dzieło nie zawsze jednak wieńczy pomyślny koniec. Słowa Jana Chwedczuka i tym razem nie są pozbawione goryczy.

— My możemy teraz dostarczyć dwie tony mięsa, ale niech mu dadzą spokój. A to stoi i czeka i się marnuje. Czeka, aż syn będzie mógł odwieźć bez obawy, że zabiorą mu to za moje zadłużenia.

— A jeżeli zabiorą?

— Gospodarstwo leży...

Dług jest długiem, istnieją chyba jednak możliwości udzielenia pomocy w wypadku (może rozłożenie na raty, zmniejszenie?), gdy są realne perspektywy uzdrowienia gospodarki?

Ciąg dalszy sprawy rozpisania:

— Ja bym nic nie mówił, gdyby tu chodziło tylko o mnie. Ja szanuję przepisy, bo wiem, że są po-

Dokończenie na str. 10

Kamena str. 3

Wymówienie dla przeciętności

Dokończenie ze str. 1

Sierpowski: — Mówicie, panowie, o indywidualnym programie studiów, który w Poznaniu stosowany jest już na trzecim roku. Sam „przerabiałem" czwarty i piąty rok równocześnie.

Masłowski: — Ale to program dla zdolnych, ja zaś myślę o konieczności uruchomienia systemu tworzenia zdolnych, działającego już w szkole podstawowej, myślę o systemie oświaty. Widzę też potrzebę sytuacji, w której opłaca się być lepszym — studentem czy magistrem. Lepszy powinien mieć zagwarantowaną lepszą pracę w zakładzie, który stwarza mu lepsze warunki rozwoju. Ale „lepszy" to wcale nie znaczy, że „piątkowy". podstawy rekrutacji młodej kadry naukowej, powinny być szersze od tych, które zakreślają wyniki egzaminów. Uzdolnienia studenta do pracy naukowej trzeba sprawdzać w czasie całych studiów: obecnie jest to tylko postulat, szalenie trudny do realizacji, albowiem uczelniom brak 33 procent obecnej liczby etatów. Pracownicy naukowi są przeciążeni robotą, nie mają czasu na cackanie się ze studentami, a czarną robotę spychają na stażystów.

Poliński: — Proponuję przywrócenie funkcji zastępcy asystenta na dwóch ostatnich latach studiów, choć nie bardzo wierzę w dotarcie tego wniosku tam, gdzie trzeba.

Sierpowski: — Tę funkcję powinien spełniać stypendysta naukowy.

Masłowski: — A kto ma takie stypendium? Piątkowy prymus.

Poliński: — Facet zachęcany do serwilizmu.

Masłowski: — Etyka środowiskowa to inny problem. Wspomnę jednak, że kształtowanie właściwych stosunków międzyludzkich jest jednym z czołowych zadań ZNP. Niełatwe to zadanie.

Kamiński: — Racjonalna rekrutacja młodych pracowników naukowych musi opierać się m. in. na odpowiednich zachętach, wśród których widnieje coś takiego, jak atrakcyjność zawodu. Czy zawód „naukowiec" jest atrakcyjny pod względem materialnym i społeczno-prestiżowym dla ludzi młodych?

Sierpowski: — Warunki socjalno-materialne, oferowane młodym, skłaniają ich na ogół do panicznej ucieczki poza uczelnię. To zrozumiałe, bo człowiek jest dziwnym stworzeniem, które musi jeść, spać i pracować, o czym w pewnym okresie nieco u nas zapomniano. Po trzech miesiącach pracy absolwent politechniki dostaje w fabryce 3 tysiące plus mieszkanie. Młody pracownik naukowy nie śmie o tym nawet marzyć. Więc albo rezygnuje z pracy na uczelni, albo oddaje się bezczelnej chałturze, deformując funkcję nauki. Takie właśnie warunki hamują dopływ nowej kadry, szczególnie na dyscypliny matematyczno-fizyczne. Najwyższa już pora na społeczną rekonstrukcję zawodu, konieczną do przywrócenia atrakcyjności naszej profesji. Naukowiec, i owszem, ceniony jest, szanowany nawet bywa, ale w obiegowym wizerunku przypomina rozbieganego łachmytę. Jeszcze przed wojną wyobrażano go sobie pod postacią starszego pana z laseczką, z „muchą" na koszuli...

Poliński: — 50 katedr Politechniki Krakowskiej obsługiwała jedna sekretarka, na 600 pracowników... Nieatrakcyjność zawodu naukowca nawarstwia inny problem, społeczno-ideowy. Otóż coraz mniej magistrów pochodzących z warstwy robotniczej lub chłopskiej decyduje się na pracę naukową.

Masłowski: — Podobne zjawisko widać już na niższym szczeblu, uczniowie najzdolniejsi idą do zawodówek... Sprawy kształcenia i życia młodych pracowników naukowych Związek Nauczycielstwa Polskiego podjął jeszcze na początku lat sześćdziesiątych. Proponowaliśmy m. in. wprowadzenie zasiłku na zagospodarowanie w wysokości dwumiesięcznych poborów.

Mgr Romuald Poliński

Kamiński: — A mieszkania? Wiadomo, że ich brak w ogóle, ale czy przypadkowo naukowcy, „chałupnicy" w końcu, nie są traktowani w sposób specjalnie troskliwy? No bo i hotele asystenckie się wznosi...

Sierpowski: — Doceniając pańskie dobre intencje, nie nazwę tego prowokacją. Brak mieszkań dla młodych naukowców to czołowy problem na liście spraw do rychłego załatwienia. Mieszkań nie ma, choć dla mnie i moich kolegów mieszkanie jest warsztatem pracy, gwarantującym, jeśli się je posiada, prawidłowy rozwój naukowy jednostki, a tym samym społeczny pożytek. Hotele asystenckie to przetrwalniki, w których doprawdy trudno wytrzymać ludziom około trzydziestki. Sam mieszkam w takim hotelu, prawie nielegalnie, bo piąty rok, a wolno w zasadzie tylko trzy lata. Władze uczelni grożą wyrzuceniem już za miesiąc, władze miejskie tylko przyrzekają przydział mieszkania. Niech pan powie: nic złego nie zrobiłem, zrobiłem natomiast doktorat i dlatego właśnie grozi mi pogorszenie warunków bytowych. Czy to normalne i moralne?

Masłowski: — Tak, mieszkanie dla naukowca jest warsztatem pracy, ale np. hotele asystenckie nie spełniają warunków takiego warsztatu. Na 9 metrach gnieździ się dwóch lokatorów — nie daj boże, jeśli jeden z nich jest technikiem, a drugi przyrodnikiem — przy czym meble zajmują 6 metrów kwadratowych; ruch po pokoju może być jednoosobowy... Żebyśmy się jednak dobrze zrozumieli: nikomu nie chodzi o mieszkania za darmo, lecz o stworzenie szansy otrzymania ich zaraz po studiach. Zapisanie się do spółdzielni mieszkaniowej rozwiązuje kwestię w ograniczonej liczbie przypadków, a jest zupełnie niemożliwe dla studentów z tzw. terenu. Resort oświaty nie ma funduszu na budownictwo zakładowe.

Poliński: — Istnieje pilna potrzeba utworzenia pozabudżetowego funduszu mieszkaniowego. Trudna sytuacja mieszkaniowa młodych naukowców zmusza ich do porzucania pracy na uczelni. Romanistyka na UMCS jest w rozkładzie głównie dlatego, że władze miejskie zabrały 20 procent z zasobów mieszkaniowych, przeznaczonych na potrzeby uczelni.

Masłowski: — Wiele zależy właśnie od zrozumienia przez miejscowe władze roli nauki w gospodarce regionu, od zrozumienia roli nauki w ogóle.

Poliński: — W Lublinie mieszkania opuszczane przez naukowców, a podlegające administracji komunalnej, zajmuje kwaterunek dla osób nie związanych z uczelnią.

Masłowski: — To praktyka ogólnopolska.

Sierpowski: — Jesteśmy tacy rozsądni, staramy się nie zawierać małżeństw aż do chwili zrobienia doktoratu. No i z chwilą otrzymania doktoratu nic się w naszej sytuacji życiowej nie zmienia, jak nie mieliśmy gdzie mieszkać i pracować, tak dalej nie mamy.

Masłowski: — Sytuacja jest o tyle dramatyczna, że wyczerpuje siły ludzi młodych, najbardziej twórczych, produktywnych, bezinteresownych.

Kamiński: — Jeśli można, to spróbuję skierować uwagę panów na inny teren, gdzie dzieją się równie ważne sprawy, w różny sposób oceniane. Chodzi mi o udział profesora w procesie intensywnego kształcenia młodych kadr naukowych.

Masłowski: — Dwaj studenci Politechniki Poznańskiej zaraz po dyplomie magisterskim otrzymali etaty na uczelni, demonstrując poziom asystentów z co najmniej półtoraroczną praktyką. Dlatego, że już od drugiego roku studiów byli prowadzeni tzw. kanałem indywidualnym przez profesora Wł. Derskiego, który do swoich obowiązków dydaktycznych podchodzi z całą powagą, choć były one bardzo uciążliwe i czasochłonne. Dwa lat po studiach, zdaniem profesora, studenci ci powinni uzyskać dyplomy doktorskie. W upowszechnieniu indywidualnego programu studiów i dalszym rozwoju studenckich kół naukowych widzę najlepszy klucz do intensyfikacji kształcenia młodej kadry naukowej. Ten model kształcenia zapewnia przyswojenie umiejętności pracy zespołowej, kompleksowej — dziś szczególnie ważnej. Asystenckie studia przygotowawcze, proponowane przez Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, należy moim zdaniem, zlikwidować.

Sierpowski: — Profesor Derski, że pozwolę sobie wtrącić na marginesie, od trzech lat mieszka w hotelu asystenckim.

Poliński: — Prace zespołowe prowadzi się na SGPiS, w katedrze prof. Fedorowicza.

Masłowski: — O kompleksowość warto zadbać również dlatego, że absolwenci uczelni trafiają często do przemysłu, gdzie obowiązuje ten typ pracy.

Sierpowski: — Moim zdaniem 75 procent powodzenia w pracy młodego naukowca zależy od szefa...

Poliński: — Potestuję!

Sierpowski: — ... co jest zrozumiałe wobec faktu, że na uczelni pozostają na ogół ludzie przeciętni, których dobry szef może rozwinąć, a zły — zupełnie zagubić. Od samodzielnych pracowników nauki zależy przyszłość naukowa uczelni.

Masłowski: — Z badań doktora B. Cichomskiego wynika, że promotor na ogół pomaga w dalszej karierze naukowej doktora.

Kamiński: — Rozmawiamy sobie o problemach młodej kadry naukowej, a tymczasem na uczelniach pojawiają się jako wykładowcy ludzie, którzy przez całe swoje dotychczasowe i długoletnie życie nie mieli bliższego kontaktu z nauką, a którzy na uczelni rekompensują sobie ciężkie straty ambicjonalne, poniesione w jakże trudnym życiu współczesnym.

Poliński: — Wiemy, znamy. I dodajmy, że panowie ci hamują rozwój nauki, blokują etaty, chcą szybko i łatwo zrobić doktoraty. Oni właśnie oraz zasada mianowania docentów, te dwa momenty spowodowały w wielu dyscyplinach nauk społecznych otwarcie drzwi dla dyletantyzmu, kazuistyki, prac pseudonaukowych, podrywających autorytet nauki.

Kamiński: — Od dłuższego czasu mówi się o potrzebie wzmocnienia więzi między nauką a praktyką gospodarczą. Jak zagadnienie to wygląda w procesie kształcenia młodej kadry naukowej?

Masłowski: — W Czechosłowacji każdy asystent odbywa kilkumiesięczną praktykę w zakładzie pracy, a docenci kontaktują się z produkcją przemysłową — w wypadku uczelni technicznych — jeszcze częściej. U nas niby stworzono po temu warunki, ale kto zastąpi naukowca odchodzącego na pewien czas z uczelni, jeśli szkoły wyższe nie mają rezerwy etatowej, a ów potencjalny stażysta ma górę obowiązków i tyle samo nadgodzin? Obecnie kandydat na staż krajowy czy zagraniczny sam musi szukać zastępcy.

Sierpowski: — Dlaczego toleruje się nadgodziny? To plaga prawdziwa, trzeba ją zwalczać zdecydowanie!

Dr Stanisław Sierpowski

Masłowski: — Czego jeszcze nie potrafią młodzi pracownicy nauki? Prowadzić zajęć, bo cała ich wiedza na ten temat ma charakter teoretyczny. Robi się sporo w zakresie pedagogizacji tej kadry, ale tylko werbalnie, praktycy-pedagodzy nie mają żadnego kontaktu z asystentami. Nikt zresztą nie weryfikuje sposobu prowadzenia zajęć. Tymczasem za ocenę niedostateczną na egzaminie winni się tylko studenta.

MIESZKANIA czyli nie lizać cukru przez szybę

Dokończenie ze str. 1

mie. I nie w stosunku do województwa, które pod względem gęstości zaludnienia na izbę zajmuje przedostatnie miejsce w kraju, bo wtedy ta dysproporcja stanie się jeszcze większa.

Na szczęście jest to tylko propozycja, bo Komisja Planowania przy Radzie Ministrów, jest wprawdzie centralnym organem planowania, ale nie jest już organem zarządzania, jak to niegdyś bywało i z nią, i z jej poprzedniczką — PKPG. Nie można się także zgodzić z nieoficjalnie przekazywanym argumentem: wybudujcie najpierw to, co wam proponujemy, a potem wam dodamy. Nie neguję roli planowania operatywnego, ale rzecz w tym, aby nie przeradzało się ono w dojutrkowanie. Przekazywanie dalszych milionów pod koniec roku, nawet jeżeli mają one być zrealizowane w roku następnym, w praktyce sprowadza się do lizania cukru przez szybę. Przygotowanie uzbrojonego terenu, dokumentacji technicznej i prawnej oraz sił wykonawczych z natury rzeczy zajmuje tyle czasu, iż wykorzystanie owych milionów, a zwłaszcza wykorzystanie prawidłowe, jest niemożliwe. I łatwo potem powiedzieć: a widzicie, daliśmy i co?

Po tej garści glogu, rzuconej do ogródka centralnego, warto spojrzeć krytycznie na własne, wcale zachwaszczone i zarzucone złomem podwórko.

Projektuje się — już u nas — że średnia powierzchnia budowanych w bieżącej pięciolatce mieszkań wzrośnie z 44,8 m kwadr., do 45,7 m kwadr. Wzrost nieduży, bo tylko o 0,9 m kwadr. — ale i to mogłoby cieszyć, gdyby ten wzrost objął każde mieszkanie. Tymczasem w praktyce większe będą tylko niektóre mieszkania, głównym zaś źródłem powiększenia owej średniej będzie zmiana struktury mieszkań: mniej M-1 i M-2, natomiast więcej M-3. A to przecież zasadnicza różnica — miejsca na kosz z brudną bielizną w łazience, lub na postawienie przyzwoitego wieszaka w przedpokoju jak nie było, tak i nie będzie.

Tu wyłaniają się dwie sprawy, na które czas wreszcie spojrzeć inaczej niż dotychczas.

Pierwsza — to znalezienie prawidłowej odpowiedzi na pytanie, jakiej wielkości mieszkania są rzeczywiście najbardziej potrzebne? Dotychczas zarówno rady narodowe, jak i zakłady pracy oraz spółdzielnie mieszkaniowe po prostu sumowały otrzymane wnioski i z tego powstawał schemat struktury. Schemat niby nie do podważenia, bo przecież sami zainteresowani takie propozycje zgosili. Ale życie raz jeszcze okazało się inne, niż to przewidują jakiekolwiek papierki. Przewidującym, a więc mądrym, okazał się ten, kto pisząc wniosek popełnił swego rodzaju nadużycie i na listę aktualnej oraz przyszłej rodziny wpisywał ciocię, teściową czy kogoś innego, czasowo zameldowanego u siebie, w rzeczywistości zaś zamieszkałego na drugim końcu Polski. Gdy nadchodził czas przydziału, ciocia czy teściowa, często znikała, ale pojawiała się synowa, zięć, wnuk lub zgoła własne dziecko. W ten sposób natura wyrównywała rachunek ilościowy.

Najgorzej jednak wychodzi na tym młodzież, której rodzice fundują książeczki mieszkaniowe systematycznego oszczędzania. Tu nie może być mowy ani o teściowej ani o cioci, nawet o mężu lub żonie, po prostu umowy wstępne zawiera się tylko na jedną osobę, bo taka jest wówczas rzeczywistość. Ale od chwili podpisania umowy wstępnej do chwili otrzymania przydziału mieszkania mija 5, 7, nawet 10 lat. Zamiast jednego ucznia lub studenta jest już małżeństwo, często z dzieckiem, niekiedy z dwoma, więc zamiast ujętego w statystykach M-1 trzeba dać M-3 lub nawet M-4. No i w ten sposób załatwiono tylko jednego wnioskodawcę, ale liczba przydzielonych metrów kwadratowych jest dwu, trzykrotnie większa.

Druga sprawa, też nie od dziś aktualna, a zawsze kontrowersyjna, to dylemat: budować więcej mieszkań małych, czy nieco mniej, lecz większych? Zwolennicy odfajkowania spraw — na nieszczęście przez długi czas właśnie oni decydowali „w imieniu" — przekonywali nas od lat, że większość społeczeństwa woli mieszkania małe, ale szybciej realizowane. I rzeczywiście tacy byli, ale czy stanowili większość? Ostatnio najpierw telewizja, a potem korespondenci PAP wykazali w ankietach, że około 75 procent pytanych (i oczekujących na mieszkania — a nie już posiadających) woli poczekać nieco dłużej, aby otrzymać mieszkanie większe i bardziej funkcjonalne. Można twierdzić, w moim przekonaniu zresztą niesłusznie, że obie ankiety nie odpowiadają prawdzie, bo są cząstkowe. Może więc LSM lub spółdzielnia „Kolejarz" czy „Motor" przeprowadzą takie ankiety wśród swoich kandydatów i oczekujących członków? Czas, aby o swoich życiowych sprawach decydowali sami zainteresowani.

W oparciu o uchwałę Plenum KW PZPR z 30 września władze administracyjne występują o wybudowanie w województwie 32 tys. mieszkań w budownictwie uspołecznionym — a więc o 4 500 mieszkań więcej, niż to zaproponowała Komisja Planowania przy Radzie Ministrów, a ponadto o 5 800 mieszkań w budownictwie indywidualnym dla ludności nierolniczej (chodzi tu o kredyty bankowe i przydziały materiałów dzielonych). Jak będzie ostatecznie, trudno w tej chwili powiedzieć. Zależy to bowiem od wielu możliwości zarówno ogólnokrajowych jak i lokalnych.

Najważniejsze z tych możliwości to sprawa zaopatrzenia materiałowego oraz tak zwane moce produkcyjne naszych przedsiębiorstw wykonawczych. Osobiście jestem przekonany, że jeśli w Wytycznych jest mowa o wzroście co najmniej o 25 procent — to przecież wzięto pod uwagę możliwości produkcji materiałów i że ta produkcja też wzrośnie o co najmniej 25 proc. Rząd zresztą powziął już w tej dziedzinie szereg konkretnych decyzji, chodzi tylko o ich wykonanie — na naszym terenie również.

Gorzej, a jak dotychczas nawet źle, jest z mocą produkcyjną. Muszę przyznać, że owe nieco tajemnicze a powszechnie używane sformułowanie doprowadza mnie już do stanu podgorączkowego. Mówimy o tym od lat przynajmniej dwudziestu — i nic. Ta „moc" niby wzrasta, a jednak wciąż i wciąż nie wystarcza. Prawda, że rosną zadania, które sobie stawiamy, że robimy coraz więcej, ale niemal apokaliptyczne pojęcie mocy produkcyjnej z jednej strony paraliżuje, z drugiej stwarza wygodny parawan dla wszystkich inwestorów, projektantów i wykonawców, inżynierów i ekonomistów, dyrektorów, kierowników budowy i kierowców, generalnych wykonawców i podwykonawców, koordynatorów i pełnomocników, zaopatrzeniowców i se-

Kamena str. 4

Kamiński: — Nie chciałbym panów zanudzać pytaniami o stan i dostępność uczelnianych zbiorów bibliotecznych, o wyposażenie w aparaturę naukową. Wiadomo, że szczególnie w tej drugiej dziedzinie jest źle, jeśli nie gorzej. Interesuje mnie przecież opinia panów o pracownikach administracji...

Poliński: — Stało się regułą, że w administracji i bibliotekach pracują żony urzędników i profesorów, zazwyczaj bez jakiegokolwiek przygotowania do spełniania przewidzianej funkcji.

Masłowski: — Praca administracji, zła praca, nie poprawi się, jeśli nie wzrosną kwalifikacje zawodowe ludzi w niej zatrudnionych. Podkreślam: nie chodzi o uruchamianie nowych etatów, lecz o zdecydowane podniesienie kwalifikacji. W administracji uczelnianej siedzą dziś panie — maturzystki.

Poliński: — Ale spotyka się też osoby bez średniego wykształcenia, załatwiające sprawy przekraczające ich „naturalne" możliwości.

Sierpowski: — Poliński wspomniał o kumoterstwie i nepotyzmie. Dodam, że jest to zjawisko ogólnokrajowe.

Kamiński: — Może nawet ogólnospołeczne...

Sierpowski: — Takie też, głębsze i szersze, źródła ma słaba znajomość języków obcych wśród kadry. Upowszechnił się u nas dość lekceważący stosunek do tych języków, w czym niemała „zasługa" szkoły średniej.

Masłowski: — Brak odpowiedniej kadry lektorskiej, wadliwa metodyka nauczania języków obcych, oparta m. in. na szkolnych czytankach, powierzchowna i rzadka weryfikacja znajomości języka przez asystenta — oto kolejne przyczyny „choroby językowej" młodych naukowców. Można ją jednak wyleczyć, choćby przez organizację wakacyjnych kursów językowych — specjalistycznych. Wydział Nauki ZNP zainicjował już akcję wczasów lingwistycznych w Szklarskiej Porębie, wykorzystując pracę społeczną lektorów Politechniki Wrocławskiej. Słuchacze stwierdzili jednoznacznie, że dwutygodniowy kurs dał im więcej, niż rok nauki języka na uczelni.

Poliński: — Potwierdzają to doświadczenia lubelskie. Prowadzone pod patronatem ZW ZMS dwutygodniowe kursy dla młodej kadry naukowej — w Białce, Ustroniu i Kazimierzu — przyniosły bardzo dobre rezultaty.

Kamiński: — O ile wiem, asystenckie studia przygotowawcze uważacie panowie za zbyteczne...

Poliński: — To nic innego, jak przedłużenie normalnego stażu o rok. Projekt tych studiów, opracowany przez Ministerstwo bez konsultacji z przedstawicielami poszczególnych środowisk uczelnianych, jest przy tym połowiczny, nie gwarantuje faktycznej intensyfikacji kształcenia młodej kadry naukowej.

Kamiński: — A studia doktoranckie, z którymi wiązano tyle nadziei?

Masłowski: — Miały powstać w ośrodkach cierpiących na brak kadr określonej specjalności, a faktycznie działają tam, gdzie można je było uruchomić. W rezultacie doprowadziły do inflacji doktorów, na przykład historyków w Warszawie. I w ten sposób dobra idea nieco skarlała w praktyce.

Poliński: — Kto ustala plan potrzeb kadrowych uczelni?

Masłowski: — Ustala się plan możliwości, obowiązujący zresztą do 1985 r. Innymi słowy każdy ośrodek planuje liczbę kadry, którą może wykształcić. Zarząd Główny ZNP jest zdania — skonkretyzowaliśmy je w odpowiednim projekcie — że nie tylko każda uczelnia powinna posiadać taki plan, ale również każdy pracownik naukowy, uczestniczący zresztą w jego opracowywaniu. Uważamy też za konieczne stworzenie ogólnopolskiego planu zatrudnienia absolwentów

Mgr Medard Masłowski

studiów doktoranckich, co pozwoli na równomierne nasycenie uczelni krajowych specjalistami różnych dyscyplin.

Poliński: — Powodzenie tych planów, jeśli ewentualnie zostaną zrealizowane, zależeć będzie w znacznym stopniu również od zmiany funkcji promotorów. Obecnie są oni tylko zainteresowani rekrutacją młodej kadry naukowej, a powinni być przede wszystkim, odpowiedzialni za te sprawy.

Kamiński: — Mówi się, że ZNP jest dziś związkiem docentów i profesorów.

Masłowski: — Prawdą jest, że młoda kadra nie jest reprezentowana w ZNP proporcjonalnie do liczebności.

Poliński: — Chodziłoby zatem o większe uaktywnienie tej kadry.

Masłowski: — Powiem więcej: o zmianę jej mentalności, nieco chyba zachwaszczonej nagminnym chałturzeniem.

Kamiński: — Ale w obecnej sytuacji, tak mi się wydaje, chałtura ma przyczyny obiektywne, które zresztą zostały zarysowane podczas naszej dyskusji.

Sierpowski: — Chciałbym przytoczyć tylko jedno zdanie z „Wytycznych": „Praca społecznie pożyteczna jest w naszym ustroju naczelnym kryterium oceny wartości człowieka". Czy nie sądzicie, że zasada mianowania docentów kłóci się wyraźnie z treścią tego zdania? Poza tym ci docenci „pozatykali" wszystkie etaty, więc adiunkci nie widzą szans awansowania na uczelni. Nie mówię już o atmosferze moralnej, jaka powstaje w sytuacji, gdy docent nie ma habilitacji, a adiunkt ją posiada, będąc na niższym stanowisku.

Poliński: — To niełatwy problem, bo zasada mianowania docentów dała i dobre rezultaty, umożliwiając rozwój właśnie młodej kadrze, do roku 1968 hamowanej przez starszych profesorów, kierowników katedr.

Kamiński: — To znaczy, że ci nowi docenci nie mają dostępu do mechanizmów hamujących?

Poliński: — No nie. Może nawet chętniej będą dociskać hamulce.

Kamiński: — Moim zdaniem problem ten zniknie w momencie uruchomienia całego systemu odpowiednich zabezpieczeń, gwarantujących racjonalny, zgodny z potrzebami nauki i gospodarki narodowej rozwój młodej kadry naukowej.

Masłowski: — Mogę powiedzieć, że projekt takiego systemu opracowaliśmy. Rzecz w tym, żeby odpowiednie władze potraktowały nasz głos na serio.

Za wysokie progi

Jadwiga Miazińska

W OKRESIE ogólnonarodowej dyskusji nad ulepszaniem wielu dziedzin naszej rzeczywistości, na szczególną uwagę zasługuje problematyka związana z kształceniem i wychowywaniem młodzieży akademickiej. Młodzież ta bowiem w niedalekiej przyszłości ma zadecydować o miejscu Polski w wyścigu nauki i techniki. Dotychczasowe wyniki pedagogiki uniwersyteckiej nie są, niestety, zadowalające.

Przyczyny tego stanu analizuje w artykule „Ni archanioł ni Belzebub" Bohdan Komorowski („Kamena" 1971, nr 20). Szukając źródła niepowodzeń studentów, autor wskazuje na trudności związane z koniecznością adaptacji do nowego środowiska, które to trudności występują głównie na pierwszym roku studiów i objawiają się w postaci tzw. progów: formalnego, środowiskowego, psychologicznego i dydaktycznego. Szczęśliwe przekroczenie lub wywrócenie się o te progi decyduje o całej dalszej karierze życiowej wielu pierwszorocznia ków. Ze względu na swoją doniosłość sprawa adaptacji do studenckiego trybu życia wymaga kompleksowych badań ze strony pedagogów, socjologów, psychologów oraz — w oparciu o wnioski z tych badań — podejmowania skutecznych profilaktycznych kroków. Dzięki temu, być może, udałoby się zapobiec wielu rozczarowaniom i frustracjom u tej części młodzieży, która mimo odpowiednich zdolności nie potrafi uporać się samodzielnie z „wysokimi progami". Nie bez znaczenia byłyby także społeczne korzyści płynące z podniesienia efektywności studiów.

W swej wypowiedzi pragnę zająć się bliżej sprawą progu dydaktycznego, przez który, za B. Komorowskim, rozumiem odmienny sposób studiowania w porównaniu ze szkołą podstawową czy średnią. Wypada przy tym zaznaczyć, że ta inność stanowi dodatkową atrakcję dla kandydatów na wyższe uczelnie. Świadczy o tym choćby głębokie oburzenie, z jakim „ni archanioł ni Belzebub" odnosi się do prób wprowadzenia na studiach metod szkolnych w rodzaju sprawdzania obecności na wykładach, odpytywania z zadanej porcji materiału, wymagania prowadzenia zeszytu przedmiotowego itp.

Nie chodzi o nawracanie do tych „feudalnych przeżytków". W rzeczywistości jednak wyższe uczelnie, odrzucając wypróbowane chwyty szkolne, nie proponują na ich miejsce nic nowego. Odzyskując wolność od zadań domowych, studenci stają się ofiarami tej wolności. Nikt bowiem do tej pory nie wpoił im podstawowych umiejętności obchodzenia się z głównym narzędziem pracy — własnym mózgiem. W czasach, gdy obsługa każdego bardziej skomplikowanego narzędzia wymaga od robotnika wysokich kwalifikacji, od pracownika umysłowego nie żąda się znajomości głównych praw psychologii czy metodyki pracy umysłowej, nic zatem dziwnego, że nie tylko studenci, ale i duża część pracowników naukowych prowadzi w stosunku do własnych zasobów energii intelektualnej gospodarkę rabunkową, która mści się później na rezultatach pracy. Najwyższy już chyba czas, by na studiach uznać wreszcie potrzebę i znaczenie wiadomości z tej dziedziny: by zacząć uczyć studentów sztuki uczenia się. Wprawdzie ukazuje się coraz więcej publikacji poświęconych tej problematyce, ale docierają one do rąk zaledwie nielicznych hobbystów. Tymczasem, aby unowocześnić proces dydaktyczny, nie wystarczy zapewnić młodzieży możliwie najkorzystniejszych warunków zewnętrznych (wyposażenia uczelni w odpowiednią aparaturę, zastosowania najnowszych środków audiowizualnych itp.). Równie ważne jest zmodernizowanie samego podmiotu nauczania — psychiki studenta, przyswojenie mu naukowych zasad i racjonalnych sposobów zapamiętywania wiadomości oraz rozwiązywania w oparciu o nie praktycznych zadań.

W dotychczasowej praktyce najczęściej spotyka się typ studenta, który cały swój warsztat pracy nosi ze sobą w postaci jednego zeszytu kokieteryjnie wystającego z kieszeni. Notuje w nim wszystkie zasłyszane mądrości, prowadzi na zajęciach obfitą korespondencję z kolegami; jest to również nieodzowna pomoc naukowa do zawsze modnej gry w okręty. Gdyby kiedykolwiek profesor zechciał sprawdzić, jak wyglądają jego wywody w interpretacji słuchaczy, nie dziwiłby się ponem najniezwyklejszym definicjom i tezom cytowanym na egzaminie. Przeciętny student zabiera się do nauki na trzy dni przed egzaminem. Trwałość tak zdobytej wiedzy ze zrozumiałych względów musi być wątpliwa. Szczególną trudność sprawiają studentom teksty naukowe. Ktoś słusznie powiedział, że obecnie człowiek musi uczyć się czytać dwukrotnie: po raz pierwszy — zapoznając się z elementarzem, a po raz wtóry — chcąc zrozumieć „Kapitał". Niestety, wiele osób poprzestaje na sukcesach z pierwszej klasy.

Winę za niepowodzenie na studiach w dużej części ponosi szkoła, która — jak dotąd — nie wyrabia u swych absolwentów nawyków racjonalnej pracy umysłowej. Jednakże, nie czekając na nadrobienie zaległości z jej strony, należałoby, doceniając wagę zagadnienia, jak najszybciej podjąć pewne kroki zaradcze. Wydaje się, że jednym z rozwiązań mógłby być kurs elementarnych wiadomości z dziedziny psychologii i metodyki pracy umysłowej na pierwszym roku wszystkich wydziałów i kierunków studiów, który obowiązywałby na równi z innymi wykładanymi przedmiotami.

Teoretycznym uzasadnieniem takiej propozycji jest znana pedagogom zasada świadomego uczestnictwa podmiotu w procesie nauczania, praktycznym zaś — specyfika zajęć uniwersyteckich, które wymagają od studenta dużego stopnia samodzielności oraz umiejętności gospodarowania ograniczonym czasem. Taki kurs „technologii pracy umysłowej" objąć mógłby następujące zagadnienia:

Część ogólna: 1. Rola nauki we współczesnym świecie. Rewolucja naukowo-techniczna a potrzeba racjonalnych sposobów zdobywania wiedzy. 2. Ekonomika czasu. Zasady organizacji pracy umysłowej. 3. Podstawowe wymagania higieny psychicznej. Praca a wypoczynek. Wykorzystanie wolnego czasu. 4. Podstawowe wiadomości z psychologii uczenia się. Prawa uczenia się i zapamiętywania. 5. Zagadnienia twórczości naukowej (w oparciu o biografie wybitnych twórców nauki). 6. Rola samokształcenia w pracy zawodowej. Cel, zasady i metody pracy samokształceniowej.

Część szczegółowa: 1. Warsztat pracy naukowej. 2. Metodyka pracy z książką. Umiejętność czytania i konspektowania tekstów naukowych (podręczników i źródeł). 3. Umiejętność słuchania i notowania wykładu. 4. Zasady dyskusji. 5. Sposoby gromadzenia materiału i opracowywania wybranych tematów w postaci referatu, artykułu, recenzji itp. 6. Sposoby przygotowywania się do egzaminów.

Przy opracowywaniu takiej problematyki można byłoby wykorzystać szereg klasycznych pozycji książkowych z tej dziedziny, jak np. S. Rudniańskiego „Technologię pracy umysłowej", Z. Pietrasińskiego „Sztukę uczenia się", W. Beveridge'a „Sztukę badań naukowych", H. Salye'a „Od marzenia do odkrycia naukowego". Bez znajomości tych pozycji nie sposób wyobrazić sobie obecnie wykształconego człowieka.

Oprócz zajęć teoretycznych warto byłoby także zaplanować zajęcia praktyczne: zwiedzanie bibliotek, zapoznanie z układem, katalogów, czasopismami naukowymi, obsługą najważniejszych pomocy audiowizualnych. Te ostatnie zajęcia wiązałyby się ściśle ze specyfiką danego kierunku studiów.

Sensowność wprowadzenia proponowanego przedmiotu byłaby uzależniona od poziomu zajęć, które powinny być obsadzone przez najlepszych specjalistów, a zarazem — wytrawnych pedagogów, ale także od tego, czy przestrzegania przez studenta zasad pracy umysłowej konsekwentnie domagano by się w toku dalszych studiów.

Szukając dróg radykalnego zwiększenia efektywności studiów, należałoby może prócz systemu bodźców materialnych w postaci stypendiów wypróbować skuteczność bodźców emocjonalnych i intelektualnych. Zajęcia z technologii pracy umysłowej, dając podstawowe nawyki dobrej roboty i dostarczając atrakcyjnych wzorów osobowych, mogłyby spełniać tę rolę. •

---

kretarki, głównych księgowych i dozorców nocnych.

A jak wygląda u nas rzeczywistość tych elementów, które składają się na ową moc produkcyjną?

Zarówno poprzedni jak i obecny dyrektor Lubelskiego Zjednoczenia Budownictwa mówili mi, że ilość sprzętu ciężkiego i średniego jest wystarczająca, co rzeczywiście odpowiadało i odpowiada prawdzie. Rzecz tylko i w wykorzystaniu, i w konserwacji tego sprzętu. Sprzęt ten pracuje zaledwie 5—6 godzin na dobę, podczas gdy jego amortyzację liczy się naturalnie w ciągu 24 godzin na dobę, co dokładnie wywraca do góry nogami jego praktyczną użyteczność techniczną i ekonomiczną. Transport wykonuje swoje plany, rzecz tylko w tym, czy te plany są dostosowane do potrzeb i czy są wykorzystywane w rzeczywistości.

Wydajność pracy wzrasta, ale — po pierwsze — wciąż jest jedną z najniższych w Polsce, a ponadto stanowi (zresztą w całym kraju) wynik dzielenia, gdzie przede wszystkim dzielna całkowicie zamazuje sprawę, kryjąc m. in. zarówno tzw. przefakturowania jak i zmiany cen oraz różne ryczałty i opłaty, których wysokość zależy od umiejętności wytargowania ich od inwestora i projektanta. Nic więc dziwnego, że ilorazy właściwie o niczym nie mówi.

Długo narzekaliśmy także na fatalny stan zaplecza technicznego lubelskiego budownictwa. Ale tylko w ostatnich dwóch pięciolatkach na inwestycje własne w ramach LZB, przeliczając dawne sumy na aktualne ceny bieżące, wydano około miliarda złotych. Obecnie już ostatnie przedsiębiorstwo otrzymuje nowe zaplecze. Gdyby ktoś chciał przeliczyć wzrost wydajności pracy i mocy produkcyjnej, biorąc poprawkę na uzyskiwaną przed dziesięciu laty jakość robót, musiałby dojść do wniosku, że ów miliard złotych przyniósł bardzo mizerne rezultaty.

Największe jednak rezerwy naszego budownictwa — także ogólnopolskiego, ale lubelskiego przede wszystkim — to wciąż zła, bardzo zła organizacja pracy. Wystarczy pójść na pierwszą z brzegu budowę, aby przekonać się, iż głównym zadaniem kierownictwa tej budowy jest wypełnianie w ciągu miesiąca tysięcy rubryk różnych sprawozdań i statystyk, pisanie jednych papierków i czytanie innych, ciągłe dodawanie, odejmowanie, mnożenie i dzielenie, wyszukiwanie błędów w dokumentacji, aby w razie czego zasłonić się „niemożnością" finansową lub materiałową. Najmniej zaś czasu pozostaje na myślenie i prawdziwe kierowanie samą robotą. Dopóki z budownictwa nie zrzucimy grubego pancerza biurokracji, dopóki nie odwrócimy ról w przedsiębiorstwach, że administracja istnieje dla budów, a nie odwrotnie — nie przełamiemy impasu.

Kiedyś zarówno w Leningradzie jak i w Paryżu obserwowałem przez dłuższy czas budowę domów mieszkalnych pomiędzy dwoma ruchliwymi ulicami. Samochody z materiałami nadjeżdżały z różnicą do pół minuty jedną z tych ulic i po dziesięciu minutach puste znikały w drugiej ulicy. Kto u nas przyjmie i zrealizuje taki harmonogram? Wymyśliliśmy kiedyś, aby dokumentacja obejmowała także plan organizacji robót na placu budowy. Nie słyszałem nawet o budowie, na której ten kosztowny — z uwagi na czas i pieniądze — plan byłby wykonany, nie mówiąc o tym, że często przychodził od projektantów w chwili, gdy kończyło się roboty. Na budowie dużego obiektu dla przemysłu spożywczego w południowej części województwa byłem świadkiem, jak jednego tygodnia główny projektant palcem na ścianie pokazywał, gdzie mają przebiegać różne przewody, bo tego nie było w dokumentacji — a następnego tygodnia otrzymywał wysokie odznaczenie państwowe...

Jestem wreszcie głęboko przekonany, że jednym z najpilniejszych zadań jest wprowadzenie, zresztą we wszystkich fazach procesu inwestycyjnego, odpowiedzialności osobistej — projektantów, inspektorów nadzoru, wykonawców. I to na wszystkich szczeblach — od dyrektorów począwszy na pracownikach zaopatrzenia czy bhp skończywszy. W miarę bowiem narastania biurokracji inwestycyjnej zanikała radykalnie ta odpowiedzialność. Jak się okazuje, nikt nie jest winien temu, że hotel w Puławach budujemy już lat osiem, że orbisowski hotel w Lublinie mimo pięciu ostatecznych terminów wciąż nie jest gotowy, że jeszcze na półrocze oficjalnie przekazano do użytku kilka w gruncie rzeczy nie wykończonych budynków mieszkalnych, że buduje się domy bez zabezpieczenia ogrzewania. Od czasu do czasu władze partyjne wyciągają takie konsekwencje, ale przecież nie one są od tego. Czy ze zmianą dyrekcji — jak np. w Puławach, trzeba czekać do czasu, aż straty przedsiębiorstwa wyniosą kilkadziesiąt milionów złotych, a jakość oddawanych obiektów zbliży się do skandalu? Kogo ukarano chociażby premią za to, że nie oddał na czas pawilonu handlowego w nowym osiedlu lub chodnika od głównej ulicy do klatki schodowej?

I ostatni z najważniejszych, jak mi się wydaje, problemów: koordynacja całego procesu inwestycyjnego. Powiedzmy sobie prawdę, że takiego koordynatora w ogóle nie ma. Niby mają tę rolę spełniać rady narodowe. Można się tylko zapytać, w jaki konkretnie sposób, jeżeli uczestnicy tego procesu, pomijając nawet inwestorów, należą do kilku resortów i kilkudziesięciu zjednoczeń? Nagrodami, premiami i awansami, a także możliwościami ukarania, dysponują owe zjednoczenia a nie rady narodowe. Instytucja generalnego wykonawcy z upływem czasu stała się fikcją, opłacaną w dodatku jednoprocentowym haraczem przez podwykonawców, z których każdy kieruje się własnym, partykularnym interesem, bo otrzymywane przez niego bodźce materialne jak i oficjalna ocena przez resort czy zjednoczenie zależą właśnie od wykonania tych partykularnych, a nie wspólnych z innymi zadań.

Uchwała ostatniego plenum KW PZPR m. in. zobowiązuje rady narodowe, a następnie Prezydium WRN, do opracowania kompleksowych programów działania w dziedzinie przygotowania wszystkich elementów dla szerokiego rozwinięcia budownictwa mieszkaniowego, a następnie realizacji tego programu. Nie może się w tym obejść bez współpracy z grupami ekspertów. Wydaje się jednak rzeczą konieczną, aby do tych grup powołać nie tylko etatowych uczestników różnych komisji, ale i nowych, zdolnych ludzi, których przecież mimo wszystko w działach projektowania i realizacji budownictwa nie brakuje. Pomoc organizacji partyjnych i związkowych w swobodnym wybraniu tych ludzi na podstawie szczerej, ostrej dyskusji, okaże się bardzo cenna.

Ten dopływ świeżej krwi — na razie chociażby w ten sposób — jest konieczny. Jeżeli nasze inwestycje, nie tylko zresztą mieszkaniowe, spotykają się z tak powszechną i stałą krytyką, jeżeli jest to właśnie ta dziedzina naszej gospodarki, na którą najwięcej narzekamy, w sumie przecież nawet więcej niż na handel, to czas wreszcie, aby nie cofać się przed radykalnymi posunięciami. Przede wszystkim organizacyjnymi, ale personalnymi także. Programów, i to niezłych, mieliśmy już wiele. Ale chcieliśmy je realizować ćwierć i półtrodkami — stąd właśnie mamy taką sytuację, jaką mamy. A przecież chcemy wreszcie mieć inną.

Jerzy Dostatni

Niemoc zamroczenie i inne plagi

Bohdan Komorowski

NA ŁAMACH prasy i w dyskusjach ogólnonarodowych pojawiają się różnorakie hipotezy tropiące winnych nieefektownego, niezdyscyplinowanego i nieodpowiedzialnego działania, a raczej niedziałania we wszystkich dziedzinach życia, tłumienia inicjatywy gospodarczej, społecznej i kulturalnej, braku poczucia odpowiedzialności za rezultaty pracy i działalności społecznej — innymi słowy: winnych indolencji, czyli niemożności. W szeregu wypowiedzi prasowych kryją się zręcznie zakamuflowane pytania, które po obdarciu z maski lub dymnej zasłony można by obnażyć do następującej postaci:

Czy brak zdrowej inicjatywy, dyscypliny świadomej i odpowiedzialności — to nieodłączne zjawisko —

— psychiki narodu polskiego, która na skutek licznych wojen, zaborów i okupacji ma już niejako we krwi kompleks oporu przeciw wszelkiej władzy, zarządzeniom i normom, które inne narody bez obciążeń historycznych honorują jako czynnik niezbędny dla egzystencji zbiorowej i indywidualnej (hipoteza historiozoficzna)?

— pewnego typu ludzi małej wartości, którzy na skutek poczucia bezkarności i na mocy prawa kompensacji wyrównują wyczynami na poły niepoczytalnymi, a na poły chuligańskimi, swe nie spełnione marzenia życiowe, tudzież swoje wyobcowanie i nieprzystosowanie społeczne (hipoteza psychologiczna, oparta na analizie stanów frustracyjnych i alienacyjnych)?

— potencjalnych bohaterów pozytywnych, którzy w czasie wojny, okupacji i konspiracji dokonywaliby czynów heroicznych, ale w dobrobycie i spokoju stają się bohaterami negatywnymi, co to z pytaniem na ustach „w co się bawić", z butelką w jednym ręku, a żyletką w drugim, masakrują współziomków (hipoteza witalistyczna, akcentująca rolę żywotności)?

— sfer kierowniczych, które wykorzystując nadmierne zaufanie instancji autorytatywnych i organizacji społecznych, nie lękają się krytyki, kontroli i konsekwencji — popadając w samozadowolenie bezkarnych kacyków i stwarzając dla innych przykład do naśladowania (hipoteza socjologiczna „oddolna")?

— czynników oświatowo-wychowawczych (szkolnych i pozaszkolnych), które na skutek braku zmysłu organizacyjnego oraz poczucia ładu i porządku przeszczepiają masom oświecanym (nie: oświeconym) miazmaty dezorganizacji i zagubienia (hipoteza pedagogiczna)?

Być może, w niejednej hipotezie jest ziarenko prawdy, bo nawet w hipotezie reakcyjno-rewizjonistycznej niektórzy skłonni są dopatrzeć się pozorów słuszności, twierdząc, że pokaźny jeszcze procent ludności nie dojrzał do socjalizmu, toteż nadużywa jego dobrodziejstwa, domagając się jedynie praw, a ignorując obowiązki. Przypomnijmy sobie znane powiedzonko pewnego ojca, który oświadczył w dziekanacie jednej z uczelni: „Jak nie dacie mej córce stypendium, to ona za darmo się uczyć nie będzie". Lub inne porzekadło: „Jaka płaca, taka praca". Albo też: „Czy się stoi, czy się leży..." Bądź z piosenki Grześkowiaka: „To je ważne, co je moje". Nie sposób pominąć tu takiej formy rozgrzeszania się, jak: nie ukradnę ja, to ukradną inni; wszyscy bimbają, to ja sam się nie będę wygłupiał; za dużo pomagamy innym, za mało nam pomagają.

Bezsprzecznie, źródło tych szeptanych sloganików kryje się w wadliwej edukacji zarówno zinstytucjonalizowanej (odbywającej się w instytucjach szkolnych i pozaszkolnych), jak żywiołowej i nieoficjalnej. Wynikiem jest brak zaangażowania ideowego, „spychotechnika", „miganie się", bumelanctwo, szukanie taniej, niewybrednej i niezbyt godziwej rozrywki, topienie nudy w alkoholu, którego wszędzie jest pod dostatkiem.

Czy jednak fakt, że część społeczeństwa nie dojrzała do pewnej ideologii, ma świadczyć o tym, że z ideologii należy rezygnować? Bynajmniej? Cóż więc czynić? Podnieść poziom i organizację edukacji narodowej. To jednak wymaga stworzenia sprzyjających warunków obiektywnych, a więc takiego układu społecznego, w którym wykluczone jest: 1) poczucie bezkarności, 2) działanie w jakimkolwiek zamroczeniu, 3) niekompetentne zwierzchnictwo.

Pozwolę sobie przytoczyć dwa symptomatyczne obrazki.

Obrazek pierwszy. Stoję sobie o letnim świcie na lubelskim dworcu PKS w oczekiwaniu na autobus. Pojawia się grupa osobników w wieku 20—30 lat po jakiejś nocnej libacji. Zachryple głosy, ohydne wyzwiska bez względu na obecność kobiet wśród czekających pasażerów. Nasza interwencja rozwścieecza hałaśliwych osobników. Nagle w oddali pojawia się młodziutki milicjancik w mundurze odprowadzający swą dziewczynę do autobusu. Nietrzeźwe indywidua milkną i jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej przedzierzgają się w normalnych przechodniów.

Obrazek drugi. W pewnym liceum na zabawy szkolne przedostawał się różnymi drogami element pozaszkolny, tzw. „miastowy", rekrutujący się nierzadko z mętów społecznych, terroryzujących i szantażujących młodzież szkolną, która po prostu ze strachu pozwalała na tę swoistą infiltrację. Dyżurni pedagogowie czuli się bezradni wobec chuligańskich rozróbek, lecz nie chcieli pozbawiać młodzieży rozrywek. Stała obecność dyżurnej dwójki milicyjnej przyczyniła się do radykalnej zmiany na lepsze.

Wniosek: sam widok munduru milicyjnego wywołuje w pewnych awanturniczych typach skojarzenia mitygujące, a w spokojnych obywatelach poczucie ładu i bezpieczeństwa. Czyż więc odpowiednie rozmieszczenie taktownych, ale stanowczych stróżów bezpieczeństwa w większych skupiskach nie przyczyniłoby się do naprawy Rzeczypospolitej? Dalecy jesteśmy od postulowania metod policyjnych, ale pragniemy takiej zorganizowanej ochrony, jaką ostatnio — w miesiącach letnich — dostrzegliśmy w strefie letniskowej Wybrzeża. Obywatel nie powinien się czuć b e z r a d n y wobec rozwydrzonych wyrostków i pijanych chuliganów, a elementy agresywne, nietrzeźwe i aspołeczne nie mogą się czuć b e z k a r n e. Sądownictwo nie musi rezygnować z ojcowskiej ręki na rzecz macierzyńskiego pobłażania, milicji zaś wypada czuwać nad całością i bezpieczeństwem nie tylko ustroju, ale i jednostki żyjącej lojalnie w tym ustroju. To wina nie wyłącznie edukacji narodowej, ale i zwierzęcego strachu, że obywatel nie biegnie na ratunek napadniętemu, nie tylko bowiem oberwie od napastnika, ale zostanie posądzony o udział w awanturze i rozboju, lub w najlepszym razie będzie ciągany jako świadek na nie kończące się procesy sądowe i narażony na zemstę bezkarnej mafii z kręgu oskarżonych.

Źródła szeregu plag narodowych skłonni jesteśmy dopatrywać się w braku zmysłu organizacyjnego i kultury prakseologicznej. Biadolimy na złą organizację szkolnictwa i oświaty. Lamentujemy nad organizacją dystrybucji i zaopatrzenia. Rozdzieramy szaty nad organizacją handlu i gastronomii. Musimy jednak oddać hołd znakomitej organizacji zaopatrzenia sklepów w alkohol i błyskawicznej obsłudze „klienta tronkowego" w punktach żywienia zbiorowego. Turysta i plażowicz walczą w pocie czoła o chleb, wodę do picia i nabiał, ale wódka, wino i piwo pchają mu się w ręce. Dlaczego mają trudności w zaspokojeniu pragnienia i głodu, a nie mają żadnych kłopotów w usatysfakcjonowaniu swych popędów pijackich? Na plaży nad jeziorkiem Echo w Zwierzyńcu, perle Roztocza Lubelskiego, ni wody mineralnej, ni oranżady w niedzielę nie uświadczysz, ale na ciężarówkę z piwem zwierzynieckim zawsze trafisz. Wobec tego spragniona od skwaru młodzież opija się piwem i w stanie zamroczenia zażywa kąpieli. O możliwych skutkach lepiej nie mówić.

Ktoś mnie przekonywał: „Człowieku! Naród przepija 35 miliardów rocznie, ale te miliardy idą do skarbu państwa i trzymają naszą gospodarkę!" Żałość mnie jednak ogarnia, gdy w pięknym Strzeszynku pod Poznaniem oglądam ślady wandalskich wyczynów wyrostków „na bańce" w postaci powyrywanych z ziemi ławek na trasie spacerowej, a w Lublinie tłuczone systematycznie latarnie w parkach, nie mówiąc już o znęcaniu się nad zielenią. A jak wyglądają wskaźniki wydajności w fabrykach, instytucjach, przedsiębiorstwach, szkołach, dokąd przychodzą popracować osobnicy spod budki z piwem?

Wobec powyższego postulujemy, by wspaniałe osiągnięcia organizacyjne branży alkoholowej wykorzystać w innych dziedzinach naszego życia narodowego. Polak zamroczony — to Polak nieodpowiedzialny, więc niezdolny ani do inicjatywy, ani do dyscypliny, a zatem jest to obywatel nierentowny.

Znane ludowe powiedzenie głosi, że ryba psuje się od głowy. O tyle to prawdziwe, że zwierzchnik wpływa na atmosferę i organizację pracy, zaraża przykładem własnej roboty i postawą, oddziałując autorytetem. Nie może to być człowiek bez kwalifikacji zawodowych, z przypadku, z nominacji według kryteriów nie mających nic wspólnego z dobrem placówki. Dużą rolę odegrać by mogło obsadzenie stanowisk kierowniczych drogą konkursu, w którym jurorzy braliby pod uwagę nie tylko ideowość, ale i rutynę w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nie może to być zwierzchnik, który własne winy zwala na podwładnych, a ich zasługi przypisuje sobie; który kieruje się sympatią i antypatią lub egoistycznym wyrachowaniem, a nie kryteriami dobrej roboty; który wykorzystuje ciężką pracę podwładnych dla własnej chwały bijącej ze sprawozdań i referatów z pominięciem nazwisk współpracowników i współautorów; który typuje siebie i niezbyt zasłużonych kumotrów do nagród, z reguły pomijając skromnych bohaterów rzetelnej pracy; który nawołuje do zdrowej socjalistycznej krytyki, a jednocześnie wykańcza atakujących jego osobę jako podskakiwaczy i uczy ich chrześcijańskiej pokory maksymą: „Pokorne ciele dwie matki ssie".

Zwierzchnik wymagający i konsekwentny, lecz ludzki i sprawiedliwy, jest postrachem dla bumelantów, a błogosławieństwem dla pracowników rzetelnych. Czuwa nad równowagą między konsekwencją a życzliwością wiedząc, że przerost konsekwencji nad życzliwością prowadzi do rygoryzmu, a przewaga życzliwości nad konsekwencją grozi liberalizmem. Nie wstydzi się słów „przepraszam" i „dziękuję". Nie zapomina o uścisku dłoni i paru ciepłych słowach dla tych, którzy odchodzą na rentę czy emeryturę, bo to dla nich więcej znaczy niż niejedna renumeracja.

Obecność takiego zwierzchnika mobilizuje, wzmaga poczucie karności, dyscypliny i odpowiedzialności, budzi zdrową i twórczą inicjatywę, tępi serwilizm wobec możniejszych i ordynarną wyniosłość wobec słabszych, którymi są zazwyczaj podwładni, interesanci i klienci.

Mimo rozwoju teorii kierownictwa i zarządzania w naszym kraju — stanowczo za mało docenia się wychowawczą rolę zwierzchnika, a przecenia się możliwości podwładnego. Nic więc dziwnego, że zwierzchnik nierzadko boi się podejmowania jakiejkolwiek decyzji, jest jednak nieustraszony w tropieniu zagubionego podwładnego.

Tabu

Janusz Wszytko

CZAS obalić wszystkie „tabu" — stwierdził niedawno Jan Szydlak w czasie dyskusji nad usprawnianiem procesu inwestycyjnego. Rzeczywiście sporo jest owych inwestycyjnych progów na długiej drodze „od projektu do efektu". Przykłady z naszego lubelskiego podwórka są aż nadto liczne. Właściwie nie ma na terenie Lubelszczyzny inwestycji, która realizowana jest zgodnie z założeniami. W dodatku zarówno inwestorzy jak i wykonawcy wykazują daleko posuniętą niegospodarność. W błoto idą miliony społecznych złotówek.

Oto budowa lubelskiej mleczarni — zakładu, który w swojej branży ma być jednym z najnowocześniejszych i największych w kraju. Owa wielka „fabryka" już od dwóch miesięcy powinna dostarczać do lubelskich sklepów tak poszukiwanego w naszym mieście mleka w butelkach. Czy rozpocznie produkcję za miesiąc, bardzo w to wątpię.

Aż dziw bierze, że ta stumilionowa inwestycja, uznana za tak zwaną inwestycję priorytetową, w ogóle została wybudowana. Od samego początku budowano ją dokładnie odwrotnie niż to nakazuje nie tylko zdrowy rozsądek, ale przede wszystkim wymogi budowlanej sztuki. Najpierw więc na rozgrzebanym placu budowy zaczęto stawiać konstrukcje głównej hali, a dopiero potem układać drogi dojazdowe, betonować plac wokół hal produkcyjnych. Notabene — Lubelskie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych nie może sobie z tym poradzić już trzeci rok. Budowa była i jest zresztą nadal wielkim śmietnikiem. Kawałki cegły czy zepsutych rur nie wystawiają dobrego świadectwa budowlanym. W różnego rodzaju niedoróbkach celuje wspomniane już LPRI. „Fachowcy" z przedsiębiorstwa układali ostatnio sieć kanalizacyjną. Kiedy przyszło do odbioru gotowej instalacji okazało się, że podłączenia wypadły o dwa metry dalej niż przewidywała to dokumentacja.

Kiedy wreszcie w gotowych halach mleczarni stanęły maszyny i przyszedł czas na uruchomienie urządzeń, zabrakło tzw. pary technologicznej. Okazało się, że kotłownia, która miała ją dostarczyć, nie została jeszcze... wybudowana.

Minął jeden termin zakończenia prac (lipiec br), upłynął drugi (wrzesień), a generalnemu wykonawcy — Lubelskiemu Przedsiębiorstwu Budownictwa Przemysłowego — ciągle czegoś brakowało. Raz materiałów, innym znowu razem ludzi. Kiedy już było wiadomo, że budowa fabryki przeciągnęła się poważnie, znalazło się wszystko. Rozpoczęła się budowlana „szturmowszczyzna".

Przykład drugi. Od trzech lat w Puławach — mieście o olbrzymich potrzebach mieszkaniowych — stoi sobie spokojnie pięćdziesiąt pustych mieszkań. Są to pozostałości po słynnych puławskich blokach ze „stropodachami". Przez trzy lata Puławskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego nie może usunąć usterek w owych mieszkaniach. Dodajmy, że każde z nich kosztowało ponad 150 tysięcy złotych. W sytuacji, kiedy plan budownictwa mieszkaniowego realizowany przez to przedsiębiorstwo jest poważnie zagrożony, nie zanosi się wcale na szybkie wyremontowanie pustych mieszkań. Nie przeszkodziło to jednak załodze PPBO w podjęciu przedzjazdowego zobowiązania — wybudowania dodatkowo 225 nowych mieszkań.

Sięgnijmy wreszcie po przykład trzeci. Fabrykę Obuwia w Chełmie nazywają „niechcianym dzieckiem" Ministerstwa Przemysłu Lekkiego. I ta inwestycja budowlana była zaprzeczeniem wymogów budowlanej sztuki oraz rachunku ekonomicznego. Od samego początku ministerialny inwestor przydzielał za mało pieniędzy na realizację budowy. Efekty nie kazały na siebie zbyt długo czekać. Już teraz wiadomo, że fabryka rozpocznie produkcję z blisko rocznym opóźnieniem. Tak więc przez rok stać będą bezczynnie maszyny wartości blisko dwustu milionów złotych. Przez cały rok blisko dwa tysiące kobiet będzie czekać na miejsce w nowym zakładzie. Wreszcie przez rok jeszcze będziemy uganiać się po sklepach w poszukiwaniu brakującego obuwia, bo ten rok opóźnienia to produkcja przeznaczona na rynek wartości 600 milionów złotych. By wyczerpać listę strat, jakie poniesiemy, warto też dodać, że budowa chełmskiej fabryki kosztować będzie kilkadziesiąt dodatkowych milionów.

Mówi się o konieczności skracania czasu budowy nowych fabryk, ale, jak dotychczas, są to tylko pobożne życzenia. Jeden z robotników budowlanych powiedział ostatnio na plenum Komitetu Wojewódzkiego Partii — widzimy, co złe pod lasem, a nie to, co mamy pod nosem. Może więc nasi budowlani rzeczywiście uświadomią sobie, że zło tkwi w nich samych? W złej organizacji pracy, niegospodarności i po prostu zwykłej nieuczciwości?

Nadszedł już chyba czas, aby skończyć z przypinaniem orderów za spartolone budowy, a po prostu zacząć rozliczać ludzi z efektów ich pracy. Osobiście nie zdarzyło mi się słyszeć, by ktoś odpowiadał za wyrzucone w błoto miliony, za źle wybudowaną fabrykę, za latami stojące puste mieszkania. Z tym „tabu" trzeba skończyć jak najprędzej.

Motor socjalistycznej demokracji

Czesław Skrzypek

WYTYCZNE na VI Zjazd Partii stawiają bardzo poważne i rozległe zadania przed samorządem robotniczym. Jest to zupełnie zrozumiałe, jeśli się zważy, że samorząd robotniczy jest jednym z istotnych elementów rozwoju socjalistycznej demokracji i pogłębiania świadomości obywatelskiej.

Jakkolwiek nasze osiągnięcia w tej dziedzinie są znaczne, to wydaje się, że jesteśmy nadal na początku długiej drogi. Uważam, że może być pożyteczne — w ramach rozważań nad dalszym rozwojem samorządu robotniczego w Polsce — wskazanie niektórych spostrzeżeń i wniosków wyprowadzonych z dotychczasowych badań.

Pozytywny wpływ na rozwój samorządu robotniczego ma autonomia przedsiębiorstwa i decentralizacja zarządzania. Poziom technologii w przedsiębiorstwie decyduje o tym, jaka grupa pracowników przejmuje kluczową rolę w samorządzie; bardzo wysoki poziom techniczny ogranicza uczestnictwo robotników, ale wzmaga udział pracowników inżynieryjno-technicznych. Wielkość przedsiębiorstwa ma wpływ na drogi wykształcenia się samorządu: w małym przedsiębiorstwie istnieje gęstsza sieć stosunków nieformalnych i one są czynnikiem twórczym samorządu, w dużych zakładach — decydującą rolę odgrywają istniejące w nich silne organizacje robotnicze i większe zespoły aktywistów.

Oceniając istniejący stan legislacyjny, większość działaczy gospodarczych uważa, że uprawnienia samorządu są wystarczające. Pewne zastrzeżenia budzi ich ogólnikowość. Otwarty problem stanowi stosunek zjednoczenie — samorząd robotniczy w przedsiębiorstwie.

Utrwaliły się pewne formy działania. Konferencje samorządu przebiegają zgodnie z wymaganiami ustawy o samorządzie, nie dość aktywne są rady robotnicze — najczęściej przekazują swe uprawnienia prezydium oraz oddziałowym radom robotniczym. Rady oddziałowe utrzymują najściślejszą więź z załogą, głównie dzięki organizowaniu narad produkcyjnych.

Pewien niedostatek obserwuje się w pełnieniu przez samorząd zadań kontrolnych. Kontrola obejmuje realizację uchwał oraz bieżącą działalność administracji. Szczególny brak doświadczeń występuje w kontroli administracji.

Zauważa się u nas utożsamianie się samorządu z KSR i radą robotniczą. W konsekwencji zawęża to działalność samorządu do spraw produkcji i jej bieżącej organizacji. Występuje też zjawisko podziału kompetencji między poszczególnymi członami samorządu. Sądzę, że konieczne jest dalsze scalanie tych członów, co nie podważa np. inspiratorskiej i szczególnie aktywnej roli organizacji partyjnej w działalności samorządu.

Trzeba też zwrócić uwagę na pewne zjawisko występujące w składzie organów samorządu. W miarę wznoszenia się w hierarchii organizacyjnej maleje liczba robotników. W organach kierowniczych samorządu przeważają pracownicy inżynieryjno-techniczni i administracyjni, najczęściej mistrzowie i kierownicy średnich szczebli zarządzania.

Jakkolwiek wiele zmieniło się w tym roku na lepsze, to nadal załogi są informowane o pracy samorządu w stopniu niezadowalającym. Powoduje to małe zainteresowanie samorządem, z drugiej zaś strony — częste zgłaszanie pretensji do samorządu i traktowanie go jako instytucji, która nie reprezentuje załogi.

Na pracę samorządu istotny wpływ wywiera styl kierowania stosowany w przedsiębiorstwie, a ściślej — stosunek dyrekcji do samorządu. Niezbędny jest tu demokratyczny sposób kierowania przedsiębiorstwem, a także zainteresowanie dyrekcji aktywną działalnością samorządu.

Podobnie ma się sprawa na szczeblu wydziału: tu kierownik nie jest tak zobowiązany do współpracy z samorządem, ale w praktyce ma ona charakter bardziej roboczy i wszechstronny.

Trzeba wyraźnie stwierdzić, że dalszy rozwój samorządu uzależnia dalszą demokratyzację zarządzania. Metody autokratyczne prowadzą do napięć i sporów między działaczami samorządu i administracją.

Zwracam uwagę na istotny problem dotyczący charakteru składu i działalności samorządu: „fachowy" czy „robotniczy". Problem ten mógłby być rozwiązany przez zabezpieczenie właściwego szkolenia aktywu oraz odpowiednie informowanie aktywu i załogi. Rezultaty ciągle są niezadowalające. Wpływa na to brak odpowiednich popularyzatorów, duże zróżnicowanie zespołów szkolonych i informowanych pod względem wykształcenia, opory w przyznawaniu się do niewiedzy przy chęci podkreślania swej ważności itp. Jest rzeczą oczywistą, że skuteczność działania samorządu w dużej mierze zależy do poziomu wiedzy produkcyjno-ekonomicznej działaczy wszelkich szczebli.

Dalszy szybki i wszechstronny rozwój samorządu robotniczego jest obiektywną koniecznością. Wskazują na to zarówno względy ideologiczno-polityczne, jak i ekonomiczno-organizacyjne.

Samorząd robotniczy jest wyrazem demokracji gospodarczej w naszym kraju. Likwiduje rozbieżność między pozycją pracownika — obywatela demokratycznego społeczeństwa i pozycją pracownika — wykonawcy, znajdującego się na dole hierarchii służbowej. Wytyczne mocno akcentują konieczność umacniania demokracji robotniczej w przedsiębiorstwie.

Wśród czynników ekonomiczno-organizacyjnych przemawiających za rozwojem samorządu należy wymienić takie elementy, jak — rozwój techniki, który wymaga coraz wyższych kwalifikacji zawodowych i rozszerza zakres samodzielności i inicjatywy pracowników, silne zbiurokratyzowanie współczesnych systemów organizacyjnych abstrahujących od indywidualnych cech pracowników (stanowi to często hamulec dla inicjatyw i wyższej efektywności działania), współczesne teorie kierownictwa podkreślające znaczenie czynników motywacyjnych i doniosłość współdziałania zespołów roboczych.

Niezaprzeczalne są efekty rozwoju samorządu robotniczego. Zmienia się układ władzy w przedsiębiorstwie, przeobraża się kształt systemu społecznego zakładu. Powstawanie grup aktywu samorządowego w zasadniczy sposób wpływa na zmianę pozycji nie tylko tego aktywu, ale i pozostałych pracowników. Rozszerza to szanse doboru kadry kierowniczej, wyłania przywódców. Ogranicza zakres konfliktów, poprawia „klimat" w stosunkach społecznych. Wszystko to wywiera pozytywny wpływ na efekty ekonomiczne zakładu.

Efekty te nie przyjdą same. Wytyczne wyraźnie mówią o zamierzonych zmianach w dziedzinie zarządzania, które otwierają przed samorządem robotniczym nowe możliwości i zadania. Ale te nowe możliwości wymagają ustawicznej pracy i troski zarówno ze strony organizacji partyjnych, jak i kierownictw administracyjnych poszczególnych przedsiębiorstw.

Wymagają też dalszych badań i analiz dla znalezienia dróg jak najpełniejszej realizacji wielorakich funkcji samorządu robotniczego.

Obojętność z urzędu i z wyboru

Edward Kutermankiewicz

APARAT rozpowszechniania filmu został skonstruowany w oparciu o wzorce przeniesione żywcem ze sfery obrotu towarowego. Rolę hurtownika spełnia za pośrednictwem swoich ekspozytur Centrala Wynajmu Filmów, zaś detalem, czyli bezpośrednim dostarczeniem filmu odbiorcom zajmują się kina zrzeszone w wojewódzkich zarządach kin. Ta struktura opiera się, oczywiście, o rachunek ekonomiczny, w którym bardziej lub mniej symboliczna złotówka odgrywa rolę zasadniczą. Według takich założeń modelowych kino spełnia rolę placówki handlowo-usługowej o bardzo wprawdzie specyficznym, jednak wyraźnie merkantylnym charakterze. Spełnia, bo spełniać musi. Plany finansowe, inwestycyjne, plany seansów, widzów, wpływów, kosztów i wiele innych stanowią istotę zadań, one bowiem przede wszystkim wpływają na ocenę działalności, one decydują o premiach i nagrodach armii pracowników kinematografii. Krótko mówiąc — są obwarowane systemem odpowiednich bodźców materialnych.

Taka struktura organizacyjna nie nasuwałaby zastrzeżeń pod warunkiem, że przedmiotem zainteresowań byłaby na przykład pietruszka.

Z ekonomicznego punktu widzenia film jest towarem jak każdy inny. Takie traktowanie go znajduje zresztą uzasadnienie w fakcie, że jest wynikiem działalności produkcyjnej, uczestniczy w obrocie międzynarodowym i wprawdzie jego udział w gospodarce nie jest bynajmniej decydujący, to jednak dostatecznie wysoki, by go nie bagatelizować.

Towar czy nie, pozostaje jednak film w dziedzinie kultury. A to już zmienia postać rzeczy. Z innego bowiem punktu patrząc, jest on potężnym instrumentem oddziaływania na świadomość całych zbiorowości ludzkich. Zatem pozostawienie go tylko w kompetencjach głównych księgowych mogłoby wywołać nieobliczalne w skutkach następstwa. Istnieje więc konieczność prowadzenia równolegle innego typu działalności, tym razem odpowiadającej sferze kultury, a nie gospodarki.

Obowiązek ten spoczywa także na barkach aparatu rozpowszechniania. Ale jest to w zasadzie obowiązek moralny, nie obwarowany odpowiednimi sankcjami, i w gruncie rzeczy stopień zaangażowania w sprawy kultury filmowej zależy wyłącznie od dobrej lub złej woli osób uczestniczących w obrocie filmem.

Dobra wola ma jednak swoje granice i musi, niestety, ustępować w wypadku kolizji z interesem ekonomicznym przedsiębiorstwa. Często też, zbyt często ulega.

Zdarzają się wypadki, że skromniutkie, wygospodarowane przez WZK fundusze na prowadzenie tej działalności muszą zostać cofnięte, że dla ratowania zagrożonych planów finansowych program studyjnych redut filmu załamany zostaje koniecznością wprowadzenia do repertuaru pozycji nie mających wiele wspólnego ze sztuką filmową. Zdarza się, jak miało to miejsce w przypadku Zamościa, że niewykonanie planu finansowego pozbawia kierownika placówki przyznanej mu przez Radę Artystyczną Kin Studyjnych nagrody za rzeczywiste, poważne sukcesy w tej działalności. Przepisy są tu jednoznaczne. Ambitne kino „Staromiejskie", prowadzące pod patronatem ZM ZMS działalność studyjną, często musi wciągać na afisz np. „Sekrety wiernych żon" lub „Dziewice dla księcia" — które nie tylko z ZMS-em, nie tylko ze sztuką filmową, ale ze zwykłą kulturą rozrywki nie mają nic wspólnego. Trudno tu nawet mieć pretensje do kierownictwa placówki. Etykieta pozostaje jako wyraz ambicji i usiłowań, umieszczany pod nią afisz jest powszednią koniecznością. Przykładów takich można by znaleźć znacznie więcej.

Ekwilibrystyka w dziedzinie upowszechniania kultury filmowej jest więc wynikiem zderzenia dobrej woli działacza kultury z twardym obowiązkiem kupca. Kino jako placówka kultury istnieje na kartach referatów i programów. W praktyce pod tym szyldem rządzą prawa podaży i popytu, którym ulegać muszą humanistyczne ambicje działaczy. Dualizm zadań, konieczność szukania „kompromisów prowadzi do częstego wypaczania sensu podejmowanych w najlepszej intencji inicjatyw, szukania satysfakcji w ilościowo wymiernych efektach tam, gdzie liczyć się powinny inne wartości. Prowadzi wreszcie do zobojętnienia ludzi na pozaekonomiczny sens ich pracy.

Jest to niejako obojętność z urzędu.

Wydarzeniem polskiego sezonu filmowego było bez wątpienia wejście na ekrany „Życia rodzinnego" Krzysztofa Zanussiego. Nabiera ono szczególnej rangi w świetle niepowodzeń, jakich doznał film polski w ostatnim roku. Ale oto jesteśmy świadkami zdumiewającego zjawiska: „Życie rodzinne" „cichaczem" wchodzi na ekran premierowego kina „Kosmos" nie poprzedzone żadnym większym wysiłkiem reklamowym, a następnie po dwu dniach projekcji (bezwzględnie obowiązujących w wypadku polskiej premiery) zostaje czym prędzej wycofane, by zniknąć z ekranów miasta, po których pałętają się tygodniami i miesiącami różne „Narzeczone piratów" czy nieśmiertelne „Angeliki". To chyba komentarza nie wymaga, tym bardziej, że w tym samym miesiącu aż dwa polskie filmy, których ranga ideowo-artystyczna ani się „Życiu rodzinnemu" kłania, doznały wielkiej pompy na terenie województwa z okazji swych premier. Były to „Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni" — nieudany film Waśkowskiego, którego nawet głośno deklarowane, skądinąd jak najlepsze intencje twórcy wybronić nie są w stanie, oraz całkiem przeciętna „Motodrama" Konica.

Niedawno premiera tak kosmicznego (dosłownie i w przenośni) niewypału jakim były realizowane w koprodukcji Polski i NRD „Sygnały MMXX" poprzedzona została niezwykle szumną kampanią reklamową, do której obok licznych plansz, fotosów i gablot włączono także specjalnie udekorowany pojazd głoszący chwałę tego dzieła.

Takie fakty (a pozwoliłem sobie posłużyć się tylko pierwszymi z brzegu przykładami) pachną skandalem. Nasuwa się więc pytanie: jak reagują na to władze kulturalne?

Wcale nie reagują. Wydział Kultury PWRN, koordynator i administrator kultury, zakopany widać w stosy korespondencji, z której próbkami mieli się czytelnicy „Kameny" możność zapoznać, nie znajduje czasu na bliższe zainteresowanie się sprawami upowszechniania filmu. Potężny instrument, a jednocześnie podmiot i przedmiot kultury, jakim jest sztuka filmowa, pozostaje praktycznie poza sferą zainteresowań administracji kulturalnej, która z ufnością składa tę część swoich obowiązków i kompetencji w ręce CWF i WZK, angażując się tylko w doraźne akcje zazwyczaj o charakterze propagandowym bądź politycznym. Zresztą skuteczność tych przedsięwzięć z uwagi na powierzchowne i schematyczne traktowanie całokształtu spraw upowszechnienia kultury filmowej bywa nader problematyczna.

We wrześniu sprawy filmu były przedmiotem obrad Egzekutywy KW PZPR, która szczególnie podkreśliła konieczność skoncentrowania się na pracy merytorycznej z filmem. Znaczy to, że wojewódzkie władze partyjne widzą potrzebę ścisłego włączenia filmu do pracy kulturalno-oświatowej jako poważnego elementu działalności ideowo-wychowawczej.

W tej sytuacji faktyczna izolacja, w jakiej w stosunku do całego aparatu upowszechniania kultury znajduje się kinematografia, wydaje się szczególnie niepokojąca.

Nie zdarzyło mi się w kilkuletniej działalności społecznej i prelegenckiej, by którykolwiek z dyskusyjnych klubów filmowych w województwie stał się przedmiotem zainteresowania instytucji upowszechniania kultury. Kluby działają niejako w konspiracji, skazane na samotne pokonywanie licznych trudności.

Ruch studyjny, który stanowi realną szansę podniesienia kultury filmowej, znalazł partnera w organizacji młodzieżowej. Działacze ZMS dostrzegli ogromne możliwości ideowo-wychowawcze, jakie tkwią w upowszechnianiu sztuki filmowej. ZMS wsparł ruch studyjny organizacyjnie i finansowo. Natomiast aparat upowszechniania kultury z Wydziałem Kultury PWRN na czele nie wykazał żadnego zainteresowania, nie udzielił żadnej pomocy, nie tylko finansowej, ale nawet nie zrobił nic, by włączyć ruch studyjny w nurt działalności kulturalno-oświatowej.

Egzemplifikacją stosunku władz kulturalnych do tych spraw może być fakt, że Chatka Żaka, sztandarowe niejako kino studyjne województwa, od dawna nie prowadzi żadnej działalności, nie wzbudzając tym choćby najmniejszego przejawu zaniepokojenia ze strony Wydziału Kultury PWRN.

O tym, że na szczeblu powiatowym administracja kulturalna często nawet nie wie o istnieniu społecznego ruchu filmowego, wspomnę tylko dla porządku.

Ruch społeczny w rozumieniu administracji to powoływanie kolejnych martwych komitetów i komisji, konstruowanych z przedstawicieli instytucji bardziej lub mniej związanych z filmem, których istnienie pozostaje w sferze formalnie odfajkowanego obowiązku. Praktyka wykazała, że zarówno Wojewódzki Komitet Filmowy, jak też wcześniejsze Sekcje Upowszechniania Kultury Filmowej nie wniosły żadnego wkładu w działalność upowszechniania, spełniając tylko rolę „czapki" przy większych przedsięwzięciach i akcjach inicjowanych przez CWF, oraz stwarzając alibi dla bierności organów administracji.

Społeczny ruch filmowy stanowić może w przyszłości tworzywo, z którego powstanie most między sztuką filmową a aparatem upowszechniania kultury. Aby ten most zbudować, władze kulturalne województwa musiałyby jednak wykorzystać swe uprawnienia koordynacyjne nie tylko do wystawiania powierzchownych ocen, opartych o wskaźniki ilościowe i pękające ze starości strychulce działalności, oraz firmowania doraźnych akcji propagandowych, nie mających z upowszechnianiem sztuki filmowej wiele wspólnego. Troska o kulturę filmową w takim samym, a kto wie czy nie w większym stopniu nasycać powinna program rozwoju kulturalnego województwa, jak sprawy amatorskiego ruchu artystycznego, placówek kulturalno-oświatowych, czytelnictwa, plastyki, teatru czy sztuki ludowej. Z uwagi chociażby na niewątpliwie największy krąg odbiorców, do których film dociera za pośrednictwem wielkiego i małego ekranu, z uwagi na jego immanentne możliwości silnego oddziaływania, na wartości poznawcze i syntetyczny charakter sztuki filmowej. Marginesowe traktowanie jej w kompleksie zagadnień upowszechniania kultury jest wynikiem nie tylko nieporadności i braku tradycji na tym odcinku. Jest obojętnością z wyboru.

W wywiadzie udzielonym „Współczesności" sekretarz KC PZPR Józef Tejchma powiedział między innymi w sprawach filmu: *Dzieło musi być artystycznie wybitne, aby mogło być uznane za wartościowe pod względem ideowym, społecznym, ponieważ takie dzieło stanowi ważną wypowiedź o ważnych sprawach i oddziałuje na odbiorców, wzbogaca doświadczenia ludzkie, rozszerza horyzonty...* i dalej... *Dzieła wybitne będą mieć priorytet upowszechnieniowy...*

Wypowiedź ta oddaje sens pogrudniowych przemian, jakie zachodzą w życiu społecznym naszego kraju. Oznacza bowiem zmianę skali wartości z ilościowej na jakościową. Myślę, że w dziedzinie upowszechniania kultury — w tym także realizującej się w postaci dzieła filmowego — ma to kapitalne znaczenie. Zdewaluowanie się schematycznych kryteriów, w myśl których przydatność filmu w działalności upowszechnieniowej określana bywała szerokością geograficzną i możliwością upchnięcia do określonej szufladki tematycznej, postawiło na głowie utarte reguły postępowania.

Jeszcze kilka lat temu województwo lubelskie w upowszechnianiu sztuki filmowej zajmowało czołową pozycję. Dziś w innych województwach powstają domy kultury filmowej, istnieje stała współpraca domów kultury i placówek ko z przedsiębiorstwami filmowymi, społeczny ruch filmowy znajduje pomoc i oparcie w wydziałach kultury rad narodowych.

Odważnie i rozważnie

Lubelskie posiada jeszcze tylko największą liczbę placówek studyjnych, otaczanych murem obojętności, pomału umierających.

Nie wiem, czy najlepszą drogą dla upowszechniania sztuki filmowej byłoby stworzenie przedsiębiorstwom takich warunków realizacji programu upowszechniania sztuki filmowej, który nie naruszałby ich wyników ekonomicznych, czy też troskę o stan kultury filmowej przekazać domom kultury, czy rozwijać i wspierać ruch społeczny, czy dążyć do objęcia szkół edukacją filmową, czy wreszcie szukać innych dróg rozwiązania problemu.

Myślę jednak, że najwyższy czas przełamać tę zmowę obojętnych. Wiem nawet, w którym miejscu.

Technika a przyroda

Włodzimierz Ginko

CHCIAŁBYM pokrótce przedstawić swój pogląd na sprawę związaną z humanizowaniem środowiska życia i pracy współczesnego człowieka. Może wydawać się dziwne, że jako przedstawiciel organizacji na wskroś technicznej, NOT-u, poświęcam uwagę właśnie zagadnieniom humanistycznym.

Bo cóż: żyjemy i pracujemy w czasach dynamicznego rozwoju techniki na całym świecie, a wiemy, że nowa technika niesie ze sobą obok zjawisk pozytywnych również wiele negatywnych, które w zasadniczy sposób wpływają ujemnie na otaczający nas świat, na naturalne środowisko naszego życia w pracy.

Rozwoju techniki nie zahamujemy, tym bardziej więc naszą działalnością społeczną chcielibyśmy w maksymalny sposób łagodzić skutki wszystkich tych negatywnych zjawisk, jakie niesie ze sobą technika.

Wiele w ostatnich latach mówi się i pisze o zakłóceniach, jakie w przyrodzie powoduje destrukcyjna działalność człowieka. Jakby nieświadomi niebezpieczeństwa zatruwamy powietrze, którym oddychamy, wodę, którą pijemy, żywność, którą się odżywiamy. Zmieniamy swoje środowisko i tryb życia w sposób dla siebie niekorzystny i na przekór zdrowemu rozsądkowi proces ten stale przyspieszamy.

Co gorsza — aktualny poziom nauk o człowieku nie potrafi sprecyzować definicji, jaki jest biologiczny mechanizm reagowania organizmu ludzkiego na szybkie zmiany warunków zewnętrznych. Wiemy tylko na pewno, że jesteśmy do tych zmian źle przystosowani i płacimy za to zdrowiem.

Prowadzimy antybiologiczny tryb życia, żyjemy w ciągłym pośpiechu, napięciu i hałasie.

Na domiar złego w coraz większym stopniu zatruwamy nasze organizmy alkoholem i nikotyną. Nasza młodzież czerpie tutaj jakże smutny przykład ze starszego pokolenia.

W zastraszającym tempie szerzy się lekomania. Sądzimy błędnie, że lekarstwa są cudownym antidotum na nerwice, alergie, różne schorzenia psychiczne i organiczne.

Kiedy nad tym wszystkim zastanawiamy się, snując przypuszczalny obraz świata już w niedalekim przecież 2000 roku, jaka jest przed nami jego apokaliptyczna wizja!

Co zrobić, aby zahamować wreszcie te wszystkie ujemne zjawiska, towarzyszące człowiekowi w jego codziennym życiu? Trzeba powiedzieć krytycznie, że robimy co prawda w tym kierunku nieśmiałe próby, ale istniejąca sytuacja wymaga rozwiązań szybkich i radykalnych.

Zanim sprecyzuję wnioski, jakie się w tej sytuacji nasuwają, jeszcze kilka refleksji na temat aktualnych zadań w dziedzinie opieki nad człowiekiem w procesie pracy. Mimo wielu naszych deklaracji w tym zakresie stwierdzających, że warunki pracy należy przystosować do człowieka, postępujemy, niestety, inaczej.

Wystarczy wziąć do ręki prasę czy obejrzeć telewizję, aby się przekonać, jak administracja niektórych naszych przedsiębiorstw przemysłowych lekceważąco podchodzi nadal do słusznych postulatów ludzi pracy! Dyletantyzm to czy lekceważenie człowieka, który przecież w procesie pracy jest ogniwem centralnym i niezastąpionym?

Szeroka dyskusja podjęta przez całe społeczeństwo przed VI Zjazdem Partii skłania mnie do sprecyzowania kilku wniosków będących rekapitulacją niniejszego artykułu. 1. Wiedząc, że ochrona naturalnego środowiska człowieka jest problemem ogólnoświatowym, powinniśmy — tak jak w wielu innych dziedzinach — występować bardziej energicznie na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych z wnioskami dotyczącymi podjęcia skutecznych form walki z dalszym niszczeniem przyrody i środowiska, w którym żyjemy. Środkami technicznymi, którymi dysponuje ludzkość XX wieku, na pewno możemy tego dokonać. 2. W programach nauczania naszych szkół średnich i wyższych powinny być uwzględnione wykłady w zakresie propedeutyki „nauki i pracy". Powierzmy młodemu pokoleniu rozwiązanie istotnych i ważnych dla ludzkości spraw, których my na pewno do końca nie doprowadzimy. 3. Jeżeli Uchwały VIII Plenum Partii mają znaleźć pełny oddźwięk nie tylko w wielkich, ale we wszystkich zakładach pracy w kraju, wydaje się konieczne wprowadzenie systematycznego, stacjonarnego szkolenia kadry kierowniczej i dozoru w zakresie socjologii, psychologii i fizjologii pracy oraz pedagogiki i organizacji przedsiębiorstwa i pracy.

Zabezpieczy to na pewno tak potrzebne humanizowanie warunków pracy, wzrost wydajności i postępu techniczno-organizacyjnego. Kryją się za tym setki milionów złotych oszczędności, tak potrzebnych krajowi i naszemu społeczeństwu.

Gdzie jest „treściwa myśl żywotna”...?

Maria Bechczyc-Rudnicka

KIEDY przeszło lat dwadzieścia temu wystawiono w Lublinie „Balladynę”, słusznie się wówczas uważało ową inscenizację za nie lada osiągnięcie repertuarowe tudzież artystyczne: była to pierwsza w Teatrze im. J. Osterwy pozycja z wielkiego repertuaru romantycznego i jedna z czterech najlepszych premier sezonu 1950/51 w skali ogólnopolskiej.

Zmieniliśmy się wraz ze zmieniającymi się czasami. Dzisiaj, gdy o „Balladynę” z jej utrapionym „metafizycznym” piorunem nie trzeba już walczyć, gdy stała się ona niemal ultima salus teatrów cierpiących na niedobory finansowe, zainaugurowanie roku teatralnego tak bardzo wziętym dziełem klasycznym nie wydaje się nam szczególnie imponujące. Niemniej rozumiem intencje kierownictwa lubelskiej sceny dramatycznej: chodziło zapewne o działanie w myśl hasła „Frontem do młodzieży” — młodzieży szkolnej, do jej potrzeb, jej lektur obowiązkowych. Rachunek był nieomylny, młodzież istotnie nie zawiodła. Dzień w dzień zapełnia ona widownię Teatru Osterwy na dwóch spektaklach śledząc z zapartym tchem „poplątane ludzkie czyny” wg Juliusza Słowackiego.

Widz młodociany — widz jakże wrażliwy! Dla wielu z nich ten spektakl będzie pierwszym stopniem wtajemniczenia w sztukę teatralną. Sprawa diablo odpowiedzialna, nie dziw tedy, że recenzenci lubelscy podeszli do oceny inscenizacji Józefa Jasielskiego z całą zawodową sumiennością, co im przecie niejaki Lechita (v. „Kamena” nr 22 „Zbrodnia doskonała”) ma za złe. Nie zapominajmy atoli o różnicy sytuacji: wszakci recenzent ma obowiązek rzetelnej analizy, podczas gdy p. Lechita, wolontariusz, bawiącego go „malinowo”, felietoniku w ogóle pisać nie musiał. Zatem, nie zważając na „chichy” swojskich Lechitów, proponuję nadal mówić o lubelskiej „Balladynie” anno 1971 — poważnie.

Otóż stało się tak, że na skutek dość długiego przebywania poza Lublinem zobaczyłam spektakl dopiero w trzy tygodnie po premierze. Przypuszczam, iż przez ten czas trochę się „dotarł”, bo hiobowe wieści o nim, które mnie powitały po przyjeździe, wydały mi się, skoro obejrzałam przedstawienie, nieco przesadne. Niewątpliwie jednak przejawiła się w nim, podobnie jak poprzednio w inscenizacji „Antygony” Sofoklesa, niezdrowa skłonność Jasielskiego do zuchwałego obchodzenia się z arcydzielnymi tekstami. Wprawdzie tym razem nie pozwolił sobie J. Jasielski na „parafrazę”, nic od siebie nie dopisując, tylko przetasowując poszczególne partie oryginału (ostatecznie to się i przed okresem inscenizatorskiego Szturmu i Drangu praktykowało), ale pokreślił tekst do tego stopnia nonszalancko, że odbiera się go tu i ówdzie jak prozę — nie zawsze z winy aktorów.

Nadto niefortunne skróty inscenizatorskie zachwiały doskonałą w dziele równowagę elementów fantastycznego a tragicznego. Tragedię „ułożoną tak, jakby ją gmin układał”, sprowadził J. Jasielski do baśni gminnej, przesłaniając tym, co miało być formą, esencję myślową utworu. Inscenizator, zda się, nie chciał wiedzieć, że „Balladyna” była w twórczości Słowackiego jednym z etapów poszukiwania „treściwej myśli żywotnej naszego kraju”.

Koncepcja sceniczna Jasielskiego odbiła się m. in. ujemnie i na rysunku ważnej postaci Kirkora. Czy trzeba przypominać, że stworzony przez poetę obraz zamierzchłych czasów wynikł z badania przyczyny „bezskutecznych usiłowań” jego wieku, wieku upadku powstania listopadowego w Polsce oraz regresu politycznego, który nastąpił w całej Europie po Kongresie Wiedeńskim, i że postać Kirkora była jedną z prób stworzenia pozytywnego bohatera? Kim jest Kirkor Słowackiego? Jeśli nie bohaterem pozytywnym zgodnie z naszymi pojęciami, to przynajmniej naprawiaczem krzywd, walczącym o „dobrego, prawowitego” króla. A kim jest Kirkor w nowej inscenizacji Teatru im. J. Osterwy? Niestety, mimo wszystko co zrobił dla zubożonej przez inscenizatora postaci Kazimierz Siedlecki — jest ów rycerz bez skazy ulotną zjawą sielsko- anielską, li tylko królewiczem-narzeczonym z dziecinnej bajki o Kopciuszku.

Drugim podstawowym błędem inscenizacji było zignorowanie przez jej autora zamierzonych anachronizmów Słowackiego, śmiałego przerzucania akcji w różne epoki celem ukazania pełniejszej panoramy społecznej. Błąd ten zaciążył na pięknej skądinąd scenografii Teresy Targońskiej, która zaprojektowała do części drugiej, związanej głównie z zamkiem Kirkora — „prehistoryczny” ostrokół, jak przystało na okolice bajecznego Gopła.

Może zresztą zaważyła tu „portatywność” ostrokołu, nie do pogardzenia wobec przewidywanych wyjazdów w teren. W takim razie — quousque tandem... jak długo jeszcze będzie trwał ten antyartystyczny serwitut, który powinien być zastąpiony dowozem widzów do siedziby teatru?

Przypuszczam też, że z tego samego powodu, czyli w danym wypadku bez winy inscenizatora, powstała zbytnia kameralizacja „Balladyny”. Tak czy inaczej, daje się ona szczególnie we znaki w scenie uczty, a już wręcz nie do darowania jest brak „panów, rycerzy, służby zamkowej, ludu” w scenie sądu, gdzie Balladynę pozostawiono niemal sam na sam z Kanclerzem, kompensując nieobecność „elementu społecznego” orszakiem widm — à la „Makbet”. Nawiasem mówiąc, powiązania z Szekspirem zostały w spektaklu najniepotrzebniej zaakcentowane (złowieszczy ton zaklęć Goplany, przywodzący na pamięć wróżby trzech czarownic na drodze do Forres, wręcz Szekspirowy tekst, ze „Snu nocy letniej”, przed podniesieniem kurtyny....).

Ozdobą spektaklu jest wspomniana już scenografia Targońskiej, zwłaszcza w części pierwszej: na tle mglistego błękitu horyzontu — poetycko podświetlone trzciny nadgoplańskie, ładne „folklorystyczne” elementy markujące izbę Wdowy i chatkę Pustelnika. Ale za główną zaletę lubelskiej „Balladyny” uznać należy dobrą grę utalentowanego zespołu, który już nieraz z najbardziej karkołomnych inscenizacji wychodził obronną ręką.

Najgorętsze słowa uznania adresuję do Wandy Wieszczyckiej. Młoda artystka wykazała się w powierzonej jej tytułowej roli nieprzeciętnym temperamentem artystycznym i kulturą, odtwarzając całą złożoność indywidualności wysferzonej dziewczyny. Interesujący jest w roli jej partnera Kostryna Maciej Polaski, ze swoją racją wilka, trafna w naiwnej dyplomacji i wzruszająca w niedoli Matka — Maria Szczechówna; Urszula Rydzewska zdołała urozmaicić potulność Aliny, pokazując zręcznie tkwiącą w jej charakterze odrobinę przekory. Aleksander Aleksy, jako wygnany król Popiel III, nie omieszka wpleść jeszcze jednego listka do laurowego wieńca, który od dawna przyznał mu Lublin. Inni? A więc przede wszystkim zasługuje na brawa — Goplana, Barbara Wronowska, baśniowo eteryczna, ale w każdym calu kobieca, gdy ulega słabostkom i urojeniom romansowym. Grabiec, w którego wcielił się świetny komik Jerzy Smoliński, doskonale bawi widownię (z woli inscenizatora trochę za długo); na piąłkę się sprawują Skierka (Piotr Suchora) i Chochlik (Paweł Nowisz) jako pajęcy oraz jako obsługa scenograficzna (dobry pomysł inscenizatora). Natomiast Sylwester Woroniecki, nasz udatny Kordian, w roli Filona wypadł raczej blado. Pozostali wykonawcy sprostali swym skromnym zadaniom. Są to: Henryk Sobiechart (Gralon, Lekarz i Gość II), Ryszard Kolaszyński (Kanclerz i Gość I), Edwin Petrykat (Gość III).

Reduta 70, mała scena Teatru im. J. Osterwy — scena inicjatyw, zainaugurowała sezon w końcu września inicjatywą nader szczęśliwą: sztuką pracownika „Kameny”, Mirosława Dereckiego „Sprawa majora Hubala”.

Autor, debiutujący w teatrze reportażem scenicznym, dziennikarz, miał niewątpliwie jeszcze jedno powołanie, z którym minął się w swej „burzliwej przeszłości” (że użyję określenia biografa programu teatralnego) — mianowicie powołanie historyka. Derecki bowiem opublikował niedawno studium historyczno-publicystyczne pt. „Tropem majora Hubala”, które świadczy o dociekliwości rzetelnego badacza i talencie w uwydatnianiu wymowy faktów. Rzecz pokazana w Reducie 70 jest autorską adaptacją właśnie tej książki. Oczywiście, adaptacja nie przenosi na scenę wszystkich walorów oryginału, kiedyż i komu się to udało? Można by też zrobić autorowi zarzut, że „kując żelazo póki gorące” nieco mechanicznie rozpisał tekst rozprawki na dialogi, ale ratuje go temat, z natury swej dramatyczny, fascynujący, ciągle aktualny.

Bohaterem reportażu scenicznego M. Dereckiego jest major Henryk Dobrzański — pseudonim Hubal. Po klęsce wrześniowej nie zdjął on munduru, lecz z niewielką grupą żołnierzy zorganizował samodzielną jednostkę, która na terenie Kielecczyzny prowadziła regularną działalność partyzancką — oto podstawowe fakty, podane widzowi przez program teatralny.

Wiadomo, że postać Hubala spopularyzował kilka lat temu Melchior Wańkowicz, zresztą charakteryzujący go w swej książce „Hubalczycy” jako „wieżę nonsensu”, tragiczną postać „w której zmagają się anachroniczne nawyki rycerskie, oparte na pięknych, ale przebrzmiałych wzorach, z jękiem rozstrzeliwanych ludzi i płonących wsi”. Derecki podjął ambitną polemikę z takim stanowiskiem. Zarówno w książce, jak w sztuce, przytacza on fakty świadczące o tym, że działania „szalonego majora” były podyktowane nie ułańską fantazją, lecz gorącym patriotyzmem, wyczuciem nastrojów otaczającej go ludności i kalkulacją polityka, którego zawiodła źle układająca się sytuacja międzynarodowa.

Reżyser reportażu, Kazimierz Braun, nadał sprawie bardzo wymowny kształt rozprawy sądowej, w której publiczność obecna na spektaklu spełnia zadanie ławników. Oryginalnym pomysłem jest pozostawienie „wyroku” w zawieszeniu aż do wyników publicznej dyskusji, stanowiącej tym samym integralną część opusu.

„Spektakl” w ścisłym znaczeniu trwa około pięćdziesięciu minut, dyskusja — godzinę i więcej, zależnie od temperamentu widzów, który po większej części dopisuje, bo problem celowości obrony honoru za wszelką cenę jest pasjonujący, zwłaszcza dla Polaka, i dyskusja prowadzi do szerokich uogólnień.

„Sprawa majora Hubala” otrzymała wyborną obsadę, której rekomendować nie trzeba: Krystyn Wójcik (Sędzia tudzież prowadzący dyskusję — zadanie arcytrudne!), Włodzimierz Wiszniewski (Oskarżyciel), Zbigniew Górski (Obrońca), Zyta Połomska, Jerzy Schejbal, Piotr Wysocki, Danuta Borowiecka (Świadkowie).

Autorowi i wykonawcom życzę dalszego powodzenia.

Juliusz Słowacki — „Balladyna”. Wanda Wieszczycka (Balladyna) i Ryszard Kolaszyński (Kanclerz). Fot. W. Parys

DELEGAT

Dokończenie ze str. 1

we krwi, choć minęło dwadzieścia lat, a Kita dawno na emeryturze albo i w grobie. A u nas jeszcze dzisiaj ciągle za mało się o tym mówi młodym ludziom i potem wszyscy się dziwią, że są wypadki.

No cóż, szkoła się skończyła, egzamin się zdało, świadectwo w kieszeni. Przyjechali „kupcy” werbować nas do pracy po całym kraju. Spora grupa chłopaków zdecydowała się jechać do Świdnika. A był to rok 1952. „Świdnik — mówią nam ci „kupcy” — to przedmieście Lublina, Lublin — mówią — to przedpole Warszawy. Ze Świdnika do Lublina jeździ pociąg elektryczny. Komfortowe warunki pracy, eleganckie, nowoczesne hotele robotnicze. W ogóle miasto młode, socjalistyczne”. Dlaczego zostawać na Śląsku, jak tam taki raj? I w dodatku do domu niedaleko. Pojechałem.

Nie był to raj obiecany. Świdnik dopiero się rozkręcał, pierwsze bloki stały w błocie, nie było kina, rozrywek, a już na przykład koleje elektryczne...!?

Zakwaterowanie dostaliśmy na Podzamczu, koło stacji kolejowej Minkowice, w starym budynku dworskim. Znowu mieszkaliśmy skoszarowani jak w internacie w Łabędach. Do Świdnika było kilka kilometrów, a pociągi kursowały z wielkimi opóźnieniami i nie jeden raz odwaliłem te kilometry na piechotę. Znowu zebrała się tutaj młodzież z różnych środowisk, z całego kraju i nie zawsze najlepsza. Bywało tak, że część jechała rano do pracy, a część do Lublina szlifować bruki albo chuliganić. Ci się zresztą dość szybko wykruszyli.

Dostałem pracę jako tokarz z III grupą zaszeregowania, robiliśmy głównie oprzyrządowanie. W 1953 roku — zmiana na lepsze. Oddano do użytku hotel robotniczy — „Jedenastkę” z 2, 3 i 4-osobowymi pokojami, z centralnym ogrzewaniem i łazienkami. Zamieszkałem w tym hotelu.

Przy torach, w baraku zwanym „Jedynką”, mieszkały dziewczęta. Została tam też otwarta świetlica, wstawiono adapter, zorganizowano wieczorki taneczne. Ruszyło kino „Iskra”. Stało się w kolejce po bilety nieraz kilka godzin, bo ludzi w Świdniku coraz bardziej przybywało, ale była satysfakcja, że jest własne kino, że nie trzeba po nocy tłuc się pociągiem z Lublina.

Zaczęliśmy się powoli dorabiać. Pensja szła, o mieszkaniu spółdzielczym ani o samochodzie jeszcze wtedy nikt ani myślał, więc zaczęliśmy się stosować do wymogów mody. Najpierw wszyscy nosili garnitury granatowe w białe prążki. Potem znowu największy fason był taki: marynarka samodziałowa, obszerna, kaszkiet usztywniony z tyłu gazetą, buty „piętrowe”, robione na zamówienie u prywatnych szewców po tysiąc złotych para...

Byłem wtedy przewodniczącym koła ZMP. Wyszedł apel do młodzieży, żeby zaciągała się do państwowych gospodarstw rolnych, które znajdują się w krytycznej sytuacji. Nie wiem, czy słabo nas agitowano, czy były jakieś inne przyczyny, dość że z całego zakładu zgosiło się na ten apel tylko dwóch ludzi. Kolega Bryzek i ja. Pojechaliśmy do PGR Machnów i tam, już niemal tradycyjnie, weszliśmy w skład dużej grupy młodzieży przybyłej z różnych zakątków Polski. Myśmy z Bryzkiem pracowali jako mechanicy w pegeerowskich warsztatach. W Machnowie było koło ZMP i znowu tutaj zostałem przewodniczącym. Robiliśmy z Bryzkiem robotę polityczną, pracowaliśmy najlepiej jak potrafiliśmy, ale przyznam się, że jak spojrzałem na to błoto, które nas otaczało, to niejeden raz — co tu ukrywać — pomyślałem sobie: „czy nie lepiej było żyć spokojnie w Świdniku...?”. Ale — ambicja nie pozwalała wracać. Taką już mam naturę, że trudno mi jest wycofywać się. Później polubiliśmy Machnów. Miałem satysfakcję ze swojej pracy, bo wydelegowano mnie wtedy na Festiwal Młodzieży do Warszawy.

A potem... założyliśmy w Machnowie zespół teatralny. Prowadził go niejaki Towbin, personalny z działu kadr. W jednym przedstawieniu zagrałem rolę inżyniera elektryka. Nie pamiętam już tytułu sztuki, tylko tyle, że było to coś na temat elektryfikacji rolnictwa i że na wojewódzkim przeglądzie teatrów amatorskich w Domu Kolejarza w Lublinie zajęliśmy pierwsze miejsce.

Przyszedł czas na służbę wojskową. Trafiłem do szkoły podoficerskiej wojsk inżynieryjnych.

I znowu jestem przewodniczącym koła ZMP. Jeżdżę z kolegami po wsiach i prowadzimy kampanię w związku z wyborami do Sejmu i rad narodowych. Musiałem się chyba spisywać nie najgorzej, skoro później dostałem podziękowanie od ministra obrony narodowej.

W 1957 roku wróciłem do Świdnika. Praca — tokarz z VI grupą na wydziale motocyklowym. No, to już nie był ten sam Świdnik, co dawniej. Bloki, ulice asfaltowe. I sam zakład znacznie się rozbudował. Inne warunki, inna organizacja pracy. Szła produkcja motocykla dużymi partiami. Zamieszkałem w wygodnym hotelu robotniczym, ale też bardzo szybko zaczęły się problemy mieszkaniowe. Dlaczego? Otóż ożeniłem się, a potem na świat przyszło pierwsze dziecko, córka. A na takie układy to już zakład nie był należycie przygotowany. Nie mogłem dziecka oddać do żłobka — nie było miejsca. Przez pewien czas gnieździliśmy się z żoną, dzieckiem i jeszcze jednym moim kolegą na dodatek, w jednym pokoju. Pracowałem wtedy tylko na 2 i 3 zmianę, bo w czasie nieobecności żony ktoś musiał się dzieckiem zajmować. Raz, bawiąc się z córką na podłodze, sam nie wiem kiedy przewróciłem się i zasnąłem ze zmęczenia. I córeczka po pewnym czasie położyła się obok mnie i zasnęła również. Tak nas oboje na podłodze zastała żona po przyjściu z pracy...

Kiedy przeszedłem do Działu Postępu Technicznego, który przekształcił się następnie w Dział Prototypów Motocykla — a tam już wymagano od pracownika nie byle jakiej znajomości pracy — zrobiłem kurs mistrzowski. Dostałem VIII grupę zaszeregowania, potem najwyższą, dziewiątą...

Mówię o domu, o pracy w zakładzie, a nic jakoś o pracy społecznej, organizacyjnej. Trzeba szczerze powiedzieć, że jako młody człowiek, dopiero wstępujący w życie, wkładałem w tę pracę dużo serca, dużo wiary. Bardzo dużo wiary. Po październiku, po rozwiązaniu ZMP, spłynęła na mnie jakaś fala rozgoryczenia. Jakoś trudno mi było znowu, natychmiast, aktywnie...

Jestem z natury pracowity. Majster Kita nauczył mnie kiedyś dokładności i odpowiedzialności za to, co robię. Bez fałszywego wstydu powiem więc, że w zakładzie ceniono mnie. Raz i drugi zaproponowano mi wstąpienie do partii. Nie odmawiałem, ale twierdziłem, że muszę się zastanowić. Dokładnie poznać politykę partii. Sporo spraw przemyśleć. Stałem z boku, przyglądałem się.

Do partii wstąpiłem w roku 1963. Po roku zostałem członkiem egzekutywy oddziałowej organizacji par-

Kamena str. 8

Zmartwienie Karola Baniuty

Marian Buchowski

Rys. E. Inglot

ALE mnie zakorkowało. Zupełnie. Nic i nic. Czyżby zmęczenie? Zmęczenie, dziadku Baniuta, zmęczenie. Siedziało w środku, a teraz rzuciło mi się na głowę. Zmęczenie, bo przecież to niemożliwe, żeby tak bez powodu ten korek siedział już drugi dzień. Ale siedzi. Co bym mu za przyczynę nie dorabiał — on siedzi. Więc co? On siedzi, ja siedzę, krew mnie... Spokojnie, Karol, tylko spokojnie, poczekać trzeba, wyskoczy, wyskoczy i poleci samo, bez sapania złością wzmocnionego, bez głowy w poprzek... Czekać, czekać?! Godzinę, dwie no — pół dnia góra, ale żeby aż dwa wieczory? Sakramencki korek! Jak w butelce z winem lepszym: długi, siedzi otulony wąziutką szyjką, i zrób mu co! Nie podda się chyba że butelkę...

— Helu?

Będzie gderać, ale niech tam, od tego jest żoną. Zobaczymy, przecież nie będę tak siedział jak...

— Jak wołam, to można wejść. Przynieś, Helciu, z kredensu... Tak, tak, nie rób oczu. Jeden kieloneк i koniec, żeby mi się okrąglej myślało.

Dobrze, że nie zapytała, jak mi idzie. Jej bym nie wytłumaczył. Nikomu bym nie wytłumaczył. Ja już sobie nie potrafię, to innym — dopiero nic. Fakt, nigdy nie miałem do tego ręki, listy zawsze pisała Hela, ale listy to inaczej — zawsze trudno, bo nie wiadomo o czym. Że wszyscy zdrowi — nie można. Wiadomo, że zdrowi, bo jakby chorzy byli, to by telegram się wysyłało, a nie list za sześćdziesiąt groszy. A jak chory ktoś tylko tak, na kilka dni — też nie można pisać, bo po co głupotami...

— Chleb zabierz, nie będę jednego zagryzał. A zegarek po co?

Późno, prawda. „Nawet niewiele, kilka stron...". Jak kilka stron, to nie może by „niewiele". Niewiele, to niewiele: dwa, trzy zdania. To ja wiem, że niewiele. Ciekawość, jak też oni do mnie trafili. Nikomu się nie chwalę, z nikim... Ano właśnie. W marcu, na jego imieniny... Tylko czy ja coś mówiłem? Na pewno to on, jego sprawka. A nieładnie, Kurdygiel. Sekretarz gromadzki, a donosi. On, pewnie on mnie wytypował, któż by inny... Musiałem mówić, bo skąd by takie pisemko do mnie kierowali. Przecież ani partyjny nie jestem... Ale ja sobie nie przypominam, żebym co...

— Śpisz?

Najprościej, jak jutro z Teodorem pogadam w cztery oczy. Powiem, żeby lepiej nie robił mnie na...

— Co mi ty „bój się Boga". Bój się sama. Jak to było na imieninach Kurdygiela?... Ja się ciebie grzecznie pytam: byłem pijany, czy nie byłem?... — Dobra, dobra. Resztę pamiętam, śpij już.

Kurdygiel, któż inny, jak nie Kurdygiel. Wiadomo, jak to jest, kiedy się zejdzie dwóch z siwymi łbami. A jak jeszcze do tego popiją trochę... O czym mogą? Albo o babach, albo... To ci Judaszysko dopiero! „Dlaczego ty, Karol, nie nosisz swojego?" Tak, przypomina mi się co nieco. „Jakbyś się wstydził. Może znalazłeś?" Patrzcie go, mądrala. Jakby innych powodów nie było! Dostałem, to i co z tego. Mam się każdemu chwalić? Nosiłem, prawda, przez trochę nosiłem, ale ile można? Każdy wie, że mam, to tutaj nie muszę przypinać. Znamy się już dwudziesty piąty rok, aż się wierzyć nie chce, że to już tyle kalendarzy my tutaj... Tak, więc o czym to ja? Aha, więc do miasta też nie wynoszę. Pomyśli taki jeden z drugim, że się za ważnego robię, że chcę ich uważanie wytargować. I zaraz: no, no, Walecznych, a jakże to... Tak i cóż mówić, kiedy to zwyczajnie. Wyczytali moje nazwisko, wystąpiłem trzy kroki według regulaminu, przypięli... Czy to moja wina, że mnie dali Walecznych, a tamtym, co się więcej należał, tylko z brzozy postawili? Wiedzieli przed przypinaniem, opowiadałem, jak mnie zamroczyło, jak potem budzę się, a tu naszych nie widać, tylko szwabskie dupy sterczą w górę, nasze kulki gwizdają mi koło uszu... Od swoich wtedy mogłem dostać w łeb, a nie Walecznych. To co miałem robić? Każdy by tak na moim miejscu. Podczołgałem się do stygnącego szkopka, zdarłem mu mauzer, potem znowu na brzuchu, żeby naszych nie mieć na linii strzelania... Zbaraniały fryce na chwilę, bo im tu nagle ktoś w plecy sadzi długimi seriami. Skąd mogli wiedzieć, że jeden wcześniej w łeb dostał odłamkiem, i nie zdążył się wycofać, a teraz trzesie się trochę i wali po plecach? Tak, ale o tym nie można. Nie pasuje po prostu. Chwalić się nie ma czym, wstydzić też nie ma czego. Nie o siebie się tylko bałem wtedy. Akurat w trzydziestym ósmym Maciek się Heli wypsnął, nie mogłem przewidzieć, że za rok... O tak, Maciek by bez kłopotu. On z byle czego zrobi taką zawiłość, że nawet ksiądz by lepiej nie potrafił. A co tu zawijać? Każdy szedł — odważny, strachliwy, a najwięcej to zwykłych, zwyczajnych ludzi najwięcej. I co? Ja takim jak mój Maciek mam teraz. Tyle lat spokojnie sobie są, mają swoje obrony na głowie... Tego to ja nie zrozumiałem z ostatniego listu. „Obrona pracy doktorskiej". Jakaż to obrona, przed kim? Co za swołocz chce mu tę jego pracę zabrać? Ale Maciek da sobie radę, już on tam obronić się potrafi. Szkoda, że tak się pokierował na ten polski. Tyle lat, jak jaki cudzoziemiec własnej mowy się uczyć... Doktorem niby będzie... Znowu coś kręci. Doktorem niby, ale jak... Zresztą jego sprawa, niech się wreszcie pomartwi sam trochę. Ja mam tu teraz inny kłopot. I to przez kogo? Przez Kurdygiela! Nie popisałeś się, Teodor, uczciwie ci mówię: nie popisałeś się. Tak robić swojemu sąsiadowi? A może... Nie, w porządku. Nazwisko, adres — zgadza się, moje. Ładnie, ale co ja mam robić w takim bądź razie? Może o tamtym? Ale co? Wielka mi rzecz! Żeby to rękę, no, chociaż jakiś palec ważniejszy... Tfu! Głupoty wygaduję. Ale z drugiej strony — prawda. Nie mam, i jakoś mi nie przeszkadza. Nawet zapomniałem, że go nie mam. Wielka mi rzecz! Oni, że na mnie liczą, a ja im wyjadę z małym palcem! Ładnie by wyglądało. Ale coś przecież trzeba, nie mogę tak machnąć ręką — ot, było, nie ma, jakby nigdy nic. Pamiętam, nie to, żebym nie pamiętał, ale co innego moje pamiętanie, a co innego ta biała kartka. Jeszcze jak na nią nie patrzę, połowa biedy. Chcesz człowieku dźgnąć ołówkiem — koniec, ani be, ani me. Ciekawość, skąd ci od książek i filmów tak wszystko składnie odrabiają? Przecież nie chodzili z notesikami, nawet listu nie było kiedy, a żeby jeszcze z notesikiem... Ale niech tam, niech puszczają takie filmy, bo oni — takie kawalerczoki zesmaste, siedemnastoletnie, to chyba patrzą na wszystko, kiwają zarośniętymi głowami, ale w środku, w sobie — śmieją się i nie wierzą. Tak normalnie, to mi ten ich śmiech nie wadzi, niech by się śmiali ciurkiem, skoro im tak trzeba, ale tam, na tej wycieczce w Warszawie, nie zdzierżyłem. Hela z miesiąc się później boczyła, że jak dziki byłem, wstyd całej Twardogowni tym krzyknięciem uczyniłem wielki. Głupio, prawda. Ale tam, w tym kinie, to jakoś bez mojej zgody tak głośno mi się powiedziało. Przecież chciałem tylko zwyczajnie, do tych najbliżej. Nie powiem, nie jakieś małpie rechotanie, może nawet nie z tego co na filmie, na pewno nie z tego, przecież to niemożliwe, ale śmiech, cichy, trochę mysi, ale śmiech. Zbudźcie się, powiedziałem. Może to i prawda, co Hela mówiła. Głośno jakoś wyszło, wszystkie głowy zerk na mnie, to wyszedłem zaraz. Nie umiesz się jak człowiek zachować, siedź w domu, prawda. Ale chciałem cicho, do tych najbliższych. Wstyd mi było. Przecież szczawiki takie w tym kinie siedziały, może im kto opowiadał, pewnie w szkole, może nawet dwóje który za to obrywał... Coraz dalej od tego, coraz to i ktoś z tych, co pamięta, ustępuje miejsca, odchodzi po porządku. „Żeby tak dożyć, żeby na łóżku, z fasonem..." Zgrożnie tak myśleć, ale prawda, normalna każdego rzecz. Swoje lata już przechodziłem, w fabryce tylko patrzeć jak by mi za darmo płacić zaczęli. Fakt, przechodziłem sporo, czasem jak mnie śpik capnie wieczorową porą — znowu idę, lewa, prawa, jakby nic innego człowiek nie robił, tylko te szwabskie pięć lat przechodził bez wytchnienia, ale nic, ani Heli, ani Maćkowi, to chodzenie można strzymać, powoli, lewa, prawa, ciekawe, że tego nie znam sam z siebie, nogi jak z ołowiu, tak ludzie mówią, a mnie tylko to chodzenie w kółko, od tylu lat tylko to chodzenie, a przecież wtedy przez tydzień budziłem się i już przebudzony gnałem, aż dopiero krzaki albo drzewo jakie dawało ból, który uspokajał, co znowu, ja dobrze słyszę, hi, hi, hi, nie gadaj mi gówniarzu, że skrzypi okno, zbudźcie się zbu...

— Dźcie się... — Kto? Ja krzyczałem? E, nie, pewno na kota, bo włazi gdzie nie trzeba... — Prawda, nie mamy już kota. Któraż to? Już pół dwunastej. A tu nic, pusto i biało, jak w styczniu za stodołą. Żeby zacząć, żeby tylko zacząć, to już by dalej jakoś poszło. Przecież nie wyślę pustej kartki, ani byle czego nie napiszę. Oni do mnie „przygotowujemy materiały do zbiorowej publikacji", a ja im z byle jaką zwykłością? Zacząć, najgorzej zacząć, potem już łatwiej. Więc tak: z lewej strony Karol Baniuta, wieś Twardogownia, jasne, trzeba dopisać przy nazwisku: kapral rezerwy, tak, teraz po środku dużymi, drukowanymi: Moje wspomnienia...

Niepokojąca cisza

W DNIU 28 listopada br. mija 100 rocznica urodzin Andrzeja Struga, którego kolebką był właśnie Lublin. Pisarz lata spędzone w naszym mieście utrwalił w licznych powieściach i nowelach z niezwykłą serdecznością, a jak odpłaciło mu się za to miasto? Trzeba przyznać, że dotychczasowe rocznice urodzin i śmierci prasa lubelska kwitowała z pełnym zaangażowaniem, ukazało się w ostatnich latach szereg artykułów i przyczynków (szczególnie w „Kamenie"), zorganizowano odczyty o Strugu, odsłonięto tablice pamiątkowe na gmachu SN i domu, w którym miał się rzekomo urodzić pisarz, położono kamień pamiątkowy na Konstantynówce, nazwano imieniem pisarza Studium Nauczycielskie, poświęcono mu sesję naukową (UMCS) i wystawy, zaś z prawdziwą satysfakcją należy odnotować fakt, że niemal we wszystkich ważniejszych imprezach uczestniczyła żona pisarza p. Nelly Strugowa. Czy to jednak wszystko, na co stać rodzinne miasto autora „Pokolenia Marka Świdy"?

Już w roku 1956, a więc 15 lat temu, na łamach „Kameny" Kazimierz Andrzej Jaworski wzywał: *...gdyśmy w poprzednim numerze „Kameny" wywołali z przeszłości piękną postać Jana Hempla — czas wielki upomnieć się i o drugiego syna Lubelszczyzny: nieskazitelnego człowieka, niezłomnego obrońcę prawdy i sprawiedliwości, świetnego pisarza — Andrzeja Struga.*

Cóż tu dziś dodać, co ująć? Chyba tylko to, że z listu, który niżej podpisany otrzymał od p. Nelly Strugowej w dniu 12.7. br., wynika, iż zwróciła się ona do szeregu instytucji i władz lubelskich z prośbą o pamięć o rocznicy i do tej pory (podkreślam — od daty wysłania listu — R. R.) nie otrzymała znikąd odpowiedzi!

Jest już taki zwyczaj, że dla upamiętnienia jakiejś poważnej rocznicy powołuje się komitet jej obchodu. Jak dotąd — na ten temat w Lublinie głucho. Nic też nie mówi się o sesji poświęconej Strugowi. Czyżby dlatego, że mamy aż dwie sekcje filologii polskiej? Co więcej: Studium Nauczycielskie im. A. Struga przestaje istnieć, ustępując miejsca WSN. Kto zatem przyjmie jego imię? Czyżby pomyliła się żona pisarza, kiedy wyznaje we wspomnianym już liście, że: *Oczywiście będę pisała o Strugu, o stuleciu jego urodzin i o tym, że wyobrażam sobie, że najuroczyściej obchodzić to powinien Lublin.*

Gdy piszę te słowa, wiem już, że nie prześpi rocznicy Warszawa, że organizuje sesję Wrocław, sam zaś przygotowuję referat na sesję organizowaną przez Łódź (Pałac Młodzieży im. J. Tuwima — a więc nie tylko dorośli, ale także młodzież chce uczcić to święto), połączoną z wystawą dedykowaną pisarzowi. Nie zapomni o Strugu „Kamena". Kto następny?

Roman Rosiak

---

tyjnej, później, w czasie jednej kadencji, II i I sekretarzem OOP, w następnych wyborach wybrano mnie na II sekretarza podstawowej organizacji partyjnej, a w ostatnich wyborach — członkiem egzekutywy Komitetu Zakładowego PZPR. Sprawuję też funkcję zastępcy członka KW PZPR, jestem członkiem Komisji Ekonomicznej KW w Lublinie.

Nie lubię zastojów życiowych. Jakoś nie mogłem pogodzić się z myślą, że nawet odpowiedzialne stanowisko mistrza tokarskiego w Zakładzie Doświadczalnym WSK, to jednak równocześnie szczyt moich możliwości zawodowych. Zapisałem się do technikum zaocznego w Lublinie. Do zaocznego, bo praca społeczna nie pozwalała na systematyczną naukę w technikum wieczorowym w Świdniku. W określonym dniu braliśmy z kolegą teczki pod pachy, siadaliśmy na jego motor i jechaliśmy do Lublina na konsultacje. Byłem już na V semestrze, kiedy przydarzyło mi się nieszczęście. Na nas, jadących jak zwykle motorem do Lublina, wpadła we mgle Warszawa. Zostałem wyrzucony z siodełka, wgnieciony między skrzynię „łubra" a przedni zderzak „warszawy". Miałem złamanych pięć żeber, powikłania i komplikacje pourazowe. Pół roku byłem na zwolnieniu lekarskim. „Zyskałem" 30 proc. inwalidztwa i zawaliłem jeden semestr w technikum. Na szczęście już mogę pracować i mogłem też wrócić do przerwanej nauki.

Wybrano mnie delegatem na VI Zjazd... To jest satysfakcja. To są obowiązki i odpowiedzialność. To są problemy, które roztrząsa się w zakładzie podczas zebrań i podczas prywatnych spotkań z kolegami i które trzeba będzie niedługo przedstawić na forum zjazdowym... Powiem panu o kilku, najbardziej u nas dyskutowanych.

Wiemy dobrze, że w wielu krajach uległa zatarciu różnica pomiędzy pracownikiem fizycznym a umysłowym. U nas takie rozgraniczenie jeszcze istnieje. Chociażby taka sprawa zasiłku chorobowego. Dlaczego pracownik umysłowy otrzymuje 100 proc. wynagrodzenia, a fizyczny tylko 70 proc.? Czy on jest czymś gorszym od umysłowego? Czy mniej wydajnie pracuje?

Fot. J. Trembecki (CAF)

Albo rzecz inna: kończy młody człowiek szkołę zawodową, kurs mistrzowski, osiąga tę swoją IX grupę i jeżeli nie ma zamiaru iść do technikum, to na przykład w wieku trzydziestu lat osiągnął górny pułap możliwości zawodowych. Mnie się wydaje, że warto rozważyć w przyszłości możliwość wprowadzenia dodatku za wysługę lat. To by przecież dało dużą stabilizację kadry. Co ma wiązać takiego człowieka z zakładem pracy? Sentyment do przepracowanych tutaj lat? To na pewno dużo, ale nie wszystko.

Dalej: dyskutuje się na temat skrócenia czasu pracy. Czy nie można by było zacząć realizowania tej sprawy nie na szczeblu ministerstw czy zjednoczeń, ale poszczególnych zakładów pracy, w niektórych wypadkach — samych nawet tylko wydziałów? Powiedzieć na wydziale: „Jeżeli tak ułożycie sobie pracę, że plan tygodniowy wykonacie w pięć dni, że nie ucierpi na tym tok pracy zakładu, to proszę bardzo, pracujcie od poniedziałku do piątku". Czy nie byłby to dobry przykład, bodziec dla innych wydziałów, dla wyzwalania inicjatywy, wzrostu wydajności pracy?

Świdnik... Kawał przepracowanego życia. Czasem, jak z żoną i dziećmi wyjdziemy na spacer, a wspominamy dawne czasy — dla naszych dzieci są to już czasy zamierzchłe — naszego tutaj „pionierskiego" okresu, czujemy się trochę jakby wyjęci z historii... Może zabawne uczucie, jednak prawdziwe. Ale częściej nachodzi mnie inne uczucie: satysfakcji. Nawet pewnego rodzaju dumy. Że właściwie od zera, bez żadnej pomocy ze strony rodziny, potrafiliśmy sobie oboje wypracować to, co posiadamy.

Mirosław Derecki

Wojciech Krawczyk

* * *

któraś jest myślą pierwszą o poranku
— mario wiosenna, miara złotousta

któraś w fiolecie snu jest bez ustanku
pełna jak słowo i jak słowo pusta

bądź jak obłędny, najskoczniejszy taniec
jak spokój rzeki przy najcichszym brzegu

mario w dniach maja niebacznym upale
mario promienna, zagubiona w śniegu

Zbigniew Górski

Tren

Tym którzy w grobie śnią dotąd Ojczyznę
którzy guzikiem nie chcieli się dzielić
tym którym oczy Polska otwierała
ostatnim błyskiem spóźnionej mądrości
tym którzy stopy bose odmrożone
opatrywali słomą zgniłego chochoła
tym którym słowa z wielkich liter znane
jak kwiat jesienny skruszyły się w palcach
tym wszystkim pamięć Pamięć owinięta
w papier sklepowy w radość pogorzelca
który ocalał w zawiły komentarz
gdy tamci milczą z twarzą skrytą w pomnik

okolice sztuki

Lubownicy techniki?

FOTOGRAFIA polska liczy bez mała 150 lat, pierwsze dagerotypy pokazano w Warszawie już w roku 1839, w kilkanaście tygodni po przedstawieniu wynalazku paryskiej Akademii Nauk. Jeszcze wcześniej, wyprzedzając wystąpienie D. Arago o kilka tygodni, warszawska „Gazeta Codzienna" zamieściła artykuł o sposobie przenoszenia na płytkę mosiężną pokrytą srebrem obrazów budowli i innych wizerunków, adresując ów tekst do „lubowników sztuk pięknych". Do naszych czasów niewiele jednak dochowało się tych pierwszych fotografii, wykonanych techniką dagerotypii; w rękach prywatnych i w muzeach w Polsce znajduje się raptem 12 płytek, z których dwie pokazał Ignacy Plażewski, prezes łódzkiego oddziału ZPAF, na I ogólnopolskim Sympozjum Historii Fotografii w Lublinie, na początku października.

Dagerotyp z 1844 roku przedstawiał mamę z córkami, drugi, o dwa lata późniejszy — podmalowywany portret siedzącej kobiety. Niewielkie to, słabo czytelne, o typowym dla początków fotografii temacie, zestawione z pokazanymi równocześnie zdjęciami Księżyca, wykonanymi w lipcu 1969 roku przez astronautów amerykańskich podczas pierwszego lądowania na satelicie, jakże ostro uzmysłowiło ogromną drogę jaką przeszła technika fotografii od czasów Daguerre'a. Anonimowy fotograf z połowy ubiegłego wieku nastawiał, przesuwał ciężkie pudła, szamotał się w czarnym rękawie, strofował obiekt, może i ptaszka udawał, aby uzyskać skromny wizerunek osób wybranych, bo zamożnych; wtedy fotografia była techniką elitarną. Może to on właśnie ogłaszał w prasie, że wykonuje „portrety fotograficzne na czarno... i ręczy za zupełne podobieństwo"? Może to on, w późniejszych latach, oferował „Portrety i medaliony na sposób tzw. Panotypii i Vitrotypii czyli Fotografie na szkle i płótnie lakierowanym... Siedzenie do zdjęcia portretu trwa tylko 3 do 6 sekund... a oddanie portretów po odbytym siedzeniu w przeciągu 10 do 15 minut. Dla krótkości czasu siedzenia, mogą być i małe ale spokojnie siedzące dzieci portretowane..."

Wielkie i soczyście barwne zdjęcie księżycowe, oblane cienką, plastikową warstwą ochronną wykonane w szalenie trudnych warunkach, wymagały od fotografa niewielkich umiejętności i małego wysiłku. Wystarczyło, aby Armstrong wziął do ręki kamerę Hasselblad 500 E1/70, jednoobiektywową lustrzankę szwedzką o napędzie elektrycznym, odpowiednio „przyłożył się" do obiektu i naciznął co trzeba, a już dwa akumulatory zasilają układ napędowy, który automatycznie naciąga migawkę, powoduje jej wyzwolenie, transportuje błonę... Przy zastosowaniu adaptera na taśmę dwustronnie perforowaną 70 mm, z jednego ładunku tej kamery można otrzymać 70 zdjęć.

Na to jednak, aby Armstrong mógł wykonać na Księżycu fotografię Aldrina, złożyły się dziesięciolecia doświadczeń ziemskich fotografów. O wielu z nich nic nie wiemy, szczególnie zaś uboga jest nasza wiedza o dziejach fotografii polskiej, która — opierając się tylko na faktach już ustalonych — posiada znakomity udział w rozwoju fotografii światowej. Nic na przykład bliższego nie wiemy o Justynie Kozłowskim, który w roku 1869 opracował dokumentację budowy Kanału Sueskiego. Fragment tej dokumentacji, pokazany z okazji I Sympozjum w sali klubowej Wojewódzkiego Domu Kultury, mówi co prawda kilka słów o wysokich umiejętnościach technicznych i artystycznych — tak właśnie — autora, lecz jest to przecież za mało na ustalenie miejsca Kozłowskiego w historii fotografii.

Historia fotografii polskiej kryje się w czasopismach, archiwach, muzeach, w prywatnych lamusach starożytności. Trzeba ją wydobyć, trzeba ją napisać. Istnieją, co prawda, opracowania wycinkowe, lecz ich podstawy metodologiczne budzą pewne wątpliwości. Znany z odpisów rękopis Aleksandra Macieszy, spoczywający w bibliotece Płockiego Towarzystwa Naukowego, wymaga i weryfikacji, i zasadniczych uzupełnień, choć nosi nazwę „Dzieje fotografii polskiej w zarysie". W rezultacie kształt historii naszej fotografii jest amorficzny, wypełniające go fakty są odizolowane od siebie, trudne do zhierarchizowania, zawieszone nad otaczającymi je przepaściami niewiedzy. W światowych opracowaniach nie ma, jak dotąd, miejsca dla polskich fotografów i wynalazców.

Te właśnie momenty zadecydowały o powołaniu w ubiegłym roku Komitetu Historii Fotografii przy Związku Polskich Artystów Fotografików; jego inicjatorem był Juliusz Garztecki, krytyk i historyk fotografii. Celem swojego działania Komitet widzi w ułatwianiu kontaktów, wymianie materiałów i doświadczeń między ludźmi pracującymi w Polsce nad problematyką historii fotografii, w roztoczeniu opieki nad wynikami prac badawczych i ułatwianiu ich publikacji. Ponadto, jest to cel niezmiernie ważny, chodzi o wznowienie prac nad utworzeniem Centralnego Muzeum, Archiwum i Biblioteki Fotografii w Polsce, a także o opracowanie listy strat fotografiki polskiej w latach 1939—1945.

Uznając doniosłość wysiłków nad powołaniem muzeum fotografii, trudno się przecież opędzić przed pewnymi wątpliwościami, skupionymi w pytaniu: dlaczego centralne? Przecież muzeum, każde muzeum, to nie przechowalnia eksponatów i innych materiałów historycznych, lecz przede wszystkim ośrodek oddziaływania kulturalnego na dane środowisko naukowe, artystyczne i w ogóle społeczne. To przecież istotny element kultury danego regionu, którego zasoby tracą wiele po wyrwaniu z kontekstu lokalnego, który je informacyjnie i emocjonalnie wzbogaca, który jest dla nich naturalnym środowiskiem. Fotografie lubelskie E. Hartwiga będą „czuły się" dobrze jedynie w Muzeum Okręgowym w Lublinie, podobnie chyba będzie z dorobkiem Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego, które właśnie w tym roku obchodzi 35-lecie istnienia (a nie 40-lecie, jak to niektórzy w Lublinie głoszą).

Tak czy inaczej, samo powołanie Komitetu jest faktem niezmiernie ważnym, podobnie jak trudno przecenić organizację wspomnianego I Sympozjum Historii Fotografii Polskiej, wspartego materialnie przez lubelski WDK. Data 8—10 października 1971 roku na pewno przejdzie do historii fotografii polskiej, choć impreza wszystkich nie mogła zadowolić. Ale tak to już bywa z wydarzeniami o charakterze pionierskim.

Sympozjum zgromadziło ludzi od lat związanych z fotografią i skrzętnie ciułających fakty. Referaty Juliusza Garzteckiego, Ignacego Plażewskiego, Janusza Andruszkiewicza, Henryka Dereczyńskiego, Henryka Hermanowicza, Edmunda Zdanowskiego, Wacława Zdżarskiego, Aleksandry Garlickiej i innych — wystąpienia tych autorów zarysowały stan i kierunki badań nad historią fotografii polskiej oraz zakres problemowy opracowywanych tematów. Posiadamy zatem już sporą wiedzę o fotografii warszawskiej, wileńskiej, lwowskiej, krakowskiej, poznańskiej, krzemienieckiej — dziewiętnastowiecznej i po roku 1900, aż do momentu wybuchu drugiej wojny światowej. Nie mamy nowoczesnego metodologicznie zarysu dziejów fotografii ogólnopolskiej i nic nie wskazuje, aby monografia taka powstała w najbliższym czasie. O potrzebie badań całościowych mówiła zresztą sugestywnie i słusznie Aleksandra Garlicka.

Przebieg sympozjum uświadomił również inny brak: świadomości badań czysto estetycznych. To znamienne: wszyscy bez mała — jeden wyjątek i do tego cienkim głosem wołający nie zmienia sytuacji — akcentowali i demonstrowali totalną postawę badawczą, z pominięciem problematyki czysto artystycznej. Mówiło się zatem o konieczności prac nad historią organizacji polskiego życia fotograficznego, historią przemysłu fotochemicznego i myśli konstruktorskiej, nad dziejami fotografii prasowej i rzemieślniczej, czasopiśmiennictwa i wystawiennictwa fotograficznego... Zatem mówiło się o fotografii jako określonej technice dokumentacji i opisu rzeczywistości, zrodzonej w pierwszej połowie XIX wieku. Zatem mówiło się o fotografii jako o technice, czego demonstracyjnym potwierdzeniem znaczenia wynalazku porównanie fotografii przez jednego z referentów do wynalezienia druku przez Gutenberga. Sprawy estetyki fotografii, decydujące dla fotografii artystycznej, przytłoczono stertą nazwisk, technik, odkryć technologicznych, szyldami zakładów fotochemicznych...

To praca bez wątpienia potrzebna, to wiedza konieczna na wstępnym etapie badań historycznych. Kto, gdzie, kiedy, w jaki sposób — bez takich ustaleń historii ani się nie odkrywa, ani się jej nie tworzy. Ale pozostanie przy tym przypomina próbę opracowania historii literatury za pomocą opisania historii drukarstwa, wydawnictw, technik introligatorskich etc. Oczywiście, fotografia jest szczególnie mocno zespolona z techniką, której nowości nierzadko warunkują poszerzenie rejestru możliwości artystycznych. Ale o jakości artystycznej fotografii technika nie decyduje. Gdyby przyjąć inny punkt widzenia, należałoby wyrzucić na śmietnik solaryzację Man Ray'a „Prymat materii nad myślą", bo solaryzacja to stara technika, a fotogram powstał na początku lat trzydziestych.

Kończąc pragnę wyrazić pewne zniecierpliwienie z powodu zdawkowego potraktowania historii lubelskiej; materiały są, komunikatu nawet nie było, bo trudno uznać za takowy trzy zdania, wygłoszone przez kolegę z LTF.

Ireneusz J. Kamiński

---

z bocznej trybuny

Pod chmurami

SĄ NAJLEPSZYMI polskimi lotnikami — akrobatami. Ryszard Kasperek ma lat 40, Stanisław jego brat — 35. Ojciec ich był (i jest) kierowcą, gospodarzącym też na małym kawałku roli w podlubelskiej wsi Niemce.

Życiorys Ryszarda: w organizacji Służba Polsce przeszedł przeszkolenie szybowcowe. W wojsku służył w lotnictwie, ale jako mechanik. Po powrocie do cywila zaczął pracować w Świdniku. W tamtejszym aeroklubie przesiadł się z szybowca na samolot. Zawodowo pracuje w WSK jako kontroler techniczny przy produkcji helikopterów.

Życiorys Stanisława: przeszkolenie lotnicze, przeszedł w Służbie Polsce. Mając lat 18 został instruktorem samolotowym, najmłodszym w Polsce. W wojsku był spadochroniarzem; na szczęście dawali mu przepustki i mógł latać w Aeroklubie Gdańskim. Po powrocie do cywila osiadł w Świdniku, gdzie jest instruktorem w tamtejszym Aeroklubie Robotniczym.

Na ostatnich mistrzostwach Polski w akrobacji samolotowej Stanisław zajął drugie miejsce (zdobywając tytuł I wicemistrza Polski), Ryszard — trzecie (II wicemistrz). Ogółem dotychczas Stanisław był sześć razy mistrzem, cztery wicemistrzem i raz wicemistrzem w nawigacji lotniczej. Ryszard to jeden z jego najgroźniejszych konkurentów: był dwa razy wicemistrzem w akrobacji i raz wicemistrzem w nawigacji. Starszy brat ponadto wygrał trzykrotnie Lubelskie Ogólnopolskie Zimowe Zawody Samolotowe; młodszy twierdzi, że być może pokonałby w nich brata, a w każdym razie dał mu bobu, niestety musi z urzędu pełnić funkcję kierownika tych zawodów i sam nie bierze udziału.

Obaj bracia startowali na mistrzostwach świata w akrobacji: Ryszard trzykrotnie, Stanisław pięciokrotnie. Największy sukces odniósł Stanisław w Bratysławie, zajmując 13 miejsce; najmilej wszakże wspomina mistrzostwa w Anglii, gdzie bez przerwy Polacy otoczeni byli kibicami rekrutującymi się z tamtejszej Polonii, głównie spośród byłych pilotów. Najwięcej wrażeń dostarczył mu niedawny pobyt w Egipcie, gdzie przez dwa miesiące opylał środkami owadobójczymi pola bawełniane.

Lotnictwo sportowe nie budzi dziś w Polsce takiego zainteresowania, jak w okresie międzywojennym. Może to specyfika czasu. Zmagania odbywają się wysoko w górze, sport jest niewymierny, laik nie bardzo się pozna, kto lepszy. Co innego boks czy choćby lekkoatletyka: walkę można od początku do końca obejrzeć na ekranie telewizora.

A może to co innego: nie mają Polacy sukcesów międzynarodowych, nie ma zainteresowania.

Na sukcesy na razie nie zanosi się — boć nikt nie uważa trzynastego miejsca za sukces. Poziomem wyszkolenia nasi piloci nie ustępują czołówce światowej. Nie są jednak w stanie nawiązać z nią równorzędnej walki, przywrócić blasku dawnym tradycjom polskich skrzydeł sportowych, bez odpowiedniego sprzętu. Bezkonkurencyjność pilotów ZSRR, a także wysoka klasa zawodników USA, Anglii i Francji kryje się w tym, że latają oni na samolotach zbudowanych specjalnie dla celów akrobatycznych, choć opartych na elementach aparatów seryjnych. Te maszyny sportowe i osiągnięcia na nich są jakby laboratoriami wytwórni lotniczych, wytyczają drogi do produkcji seryjnej. Niestety, nikt nie sprzedaje owych nieseryjnych maszyn. Polacy latają więc na „Zlinach 526" produkcji czechosłowackiej, jedynych możliwych do nabycia w Europie, a przystosowanych do akrobacji. I już przeciwników na takich „Zlinach" nie boją się.

Bracia Stanisław (w goglach) i Ryszard Kasperkowie

Od kilku lat w Polsce występowały tendencje do ograniczania produkcji małych samolotów cywilnych. Obecnie nastąpiła całkowita zmiana polityki w tej dziedzinie. Zapewne przy zwiększaniu produkcji zaistnieje możliwość, a nawet potrzeba (reklama, reklama!) przygotowywania maszyn doświadczalnych i wyczynowo-sportowych.

Czy Kasperkowie do tej pory utrzymają się w czołówce krajowej? Trudno odpowiedzieć. Lotnictwo sportowe można uprawiać z sukcesami długo, nawet do pięćdziesiątki, choć akrobację trudniej niż nawigację, bo wymaga większej kondycji. Na powodzenia dwójki ze Świdnika wpływa zapewne i fakt, że są braćmi, że sobie nawzajem pomagają układać figury akrobatyczne, korygują na treningach itd. Zgodnie z wymogami sporty prowadzą umiarkowany tryb życia: nie palą, unikają alkoholu (najwyżej kieliszek — dwa przy okazji, lecz nigdy w sezonie), wiele trenują. Współtwórcami ich sukcesów są też świetni mechanicy Kazimierz Dyr'a i Marian Puszka. Z pewnością jednak w świdnickim klubie jest atmosfera przychylna akrobacji sportowej. Kadra narodowa Polski składa się z 8 osób, ze Świdnika oprócz Kasperków dochodzi do niej także 33-letni Tadeusz Zach.

RW

Gdzieś w powiecie

Dokończenie ze str. 3

trzebne. Ale ja myślę, że prawo powinno być jednakowe dla wszystkich. Co tu daleko szukać. Tu u nas wielu jest takich, co mają gospodarstwa rozłożone. I dobrze. Ale ja panu powiem, dlaczego dobrze. Przyjechał taki jeden z Lublina i jak myśmy skończyli załatwiać, to on do mnie mówi: „Panie, ale mnie to coś trzeba..." — Jan Chwedczuk wyciąga dłoń i pokazuje mi gest „tego z Lublina". — Nie chodzi mi o te dwa tysiące, które mogłem mu dać. I może źle zrobiłem, że nie dałem. Ale ja nie po to noszę w sobie dziury po kulach, by takim dawać pieniądze i stawiać wódkę. I ja jeszcze panu powiem, że ja nie za taką sprawą siedziałem w czasie wojny w lesie. Albo weź pan takiego Zawadzkiego z Włodawy, który jest kierownikiem Wydziału Geodezji i Urządzeń Rolnych. Wie pan, co on powiedział?: „Dla Chwedczuka nigdy gospodarstwa nie rozłożę". Ja mam świadków, że on tak powiedział. A kiedy ja napisałem skargę, że innym gospodarstwa rozpisał, to niby było w porządku, bo przyjechała komisja, aby to zbadać, ale w tej komisji był on sam.

Przypominam sobie zarządzenie mówiące, iż osoba, na którą złożona jest skarga, nie może jej sama rozpatrywać. Ale nie muszę już przypominać sobie żadnych zarządzeń, by stwierdzić, że za wiele rzeczy sprawiło, iż coś nie jest tutaj w porządku.

— Chwedczuk was oskarża — powiedzieli ci z komisji tym, o których ja pisałem, że mają rozłożone gospodarstwa. I teraz jeden i drugi to mój wróg do śmierci.

Zdając sobie sprawę z powagi zarzutów pod adresem miejscowych władz, pytam go, czy zgadza się, abym to wszystko napisał. Przytakuje. Ale po chwili dodaje:

— Jak pan uważa, że będzie lepiej. Bo ja się ich boję, oni mnie usadzą. Oni mają znajomości i zawsze mnie skrzywdzą. Ale trudno. Pan sobie myśli, że kto tu u nas rządzi? Minister? Minister siedzi w Warszawie, a jak już przyjedzie, to i tak popatrzy i pojedzie. A o tym, co tu jest u nas, to mu piszą z powiatu. Piszą to, co dobre dla nich.

Ojciec i syn pokazują mi pismo przysłane przez Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Wydział Finansowy we Włodawie. Jest to decyzja o powtórnym połączeniu gruntów dla celów wymiaru podatku gruntowego! Czytam, co następuje:

...Ustalono, że prowadzi obywatel jedno wspólne gospodarstwo rolne i domowe z synem... Natomiast w odpowiedzi na skargę z dnia 15. VIII.71 wniesioną do Wojewódzkiego Biura Geodezji i Urządzeń Rolnych w Lublinie w sprawie kumulacji gruntów obywatela z gruntem syna Józefa, oraz fikcyjnie rozpisanych gruntów przez innych rolników, Wydział Finansowy zawiadamia, że działając w oparciu o postępowanie art. 173 ust. 1 dekretu z dnia 16 maja 1946 roku o postępowaniu podatkowym (Dz. U. nr 11 poz. 60 z 1963 r.) postanowił skargi tej nie uwzględnić. (...) Nie stwierdzono bowiem, by pozostali rolnicy wymienieni w skardze posiadali fikcyjnie rozpisane grunta.

Sprawa jest chyba więc zupełnie jasna...

Jan Chwedczuk uśmiecha się:

— Widziałem dwa miesiące temu wykaz podatkowy. To znaczy, że jest rozpisane. A skarga była złożona na Zawadzkiego, że innym rozłożył gospodarstwa, a on sam z tą komisją przyjechał, by to rozpatrzyć. Tak więc badanie było stronnicze.

Jadę do Wisznic, aby porozmawiać o tym z sekretarzem Gromadzkiej Rady Narodowej, Tadeuszem Jasińskim. Jego zdaniem sprawa jest już ostatecznie załatwiona, chociaż sam osobiście uważa, że rozkumulowanie wielu gospodarstw byłoby korzystne. „Byłoby korzystne, gdyż mielibyśmy lepsze wyniki skupu. I ja nie mam nic przeciw — dodaje — ale muszę trzymać się przepisów".

No cóż — muszę skłonić głowę przed przepisem, który stworzony został, w co nie wątpię, w interesie naszego rolnictwa. Ale jedno wydaje się w tym wszystkim nie ulegać wątpliwości. Dobrze rozumiany interes indywidualnego rolnika jest także naszym interesem. I można chyba powiedzieć, iż pomyślne rozwiązanie problemu, przed którym stoją syn i ojciec, przyniesie korzyść nie tylko im samym...

W jednym ze swych wystąpień Edward Gierek powiedział, że przepisy nie mogą stanowić hamulca dla słusznych i uzasadnionych dla dobra kraju działań. Ustawa zabraniająca podziału gospodarstw w okresie ogromnego głodu ziemi na pewno była potrzebna. Jednakże dzisiejsza sytuacja polskiej wsi zmieniła się. Dzisiaj narzekamy przecież, że młodzież nie chce pracować na roli. Dlaczego więc tym, którzy chcą, utrudnia się to błędnie rozumianym interesem społecznym? Dlaczego zniechęca się do pracy młodego rolnika, który dowiódł, że jest dobrym gospodarzem?

Żegnam się z Janem i Józefem Chwedczukiem w poczuciu niewywiązania się z obowiązku wobec redakcji. Nie tak wyobrażałem sobie reportaż o pracy młodego, przodującego rolnika.

We wsi Horodyszcze, która była kiedyś miastem, zostawiam ludzi i ich kłopoty oraz związane z moim przyjazdem nadzieje. Zostawiam pałac zamieniony na stajnię i fundamenty nowego budynku remizy, którą buduje się już sześć lat. Kiedy przed odjazdem przechadzałem się po wsi, podszedł do mnie mężczyzna w kaszkiecie na głowie i powiedział, że o tej budowie też warto napisać. I znowu pomyślałem, że chyba nie wszystko jest tutaj w porządku.

Andrzej Pawluczuk

Reportaż pisany przed ostatnią sesją sejmową. Red.

Kamena str. 10

moje **LEKTURY**

Utrwalić życie czyli siebie

TYTUŁOWE słowo „Fantomów", nowej książki Marii Kuncewiczowej, przewija się tam często niby referen, w coraz to nowym znaczeniu, w odniesieniu do różnych zjawisk. Kształt fantomu przybiera w książce postać samej pisarki, przynajmniej tak się widzi we własnych oczach. Skąd u niej ta niepewność swojego istnienia, skąd pochodzi potrzeba ciągłego odnajdywania swojej tożsamości, nieustannego potwierdzania własnego istnienia? Odpowiedzi na takie pytania, jeśli próbowalibyśmy ich udzielić, nie wyszłyby poza krąg domysłów. Na jeden można się poważyć: „fantomowość" własnej biografii uwarunkowana była tradycją rodzinną ostatnich kilkudziesięciu lat, na którą składały się tułaczki, wygnanie, częste zmiany miejsc zamieszkania. Kuncewiczowa dzieliła tę tradycję i — już wbrew sobie — przedłuża ją aż do dzisiejszego dnia.

Urodzona w Samarze, młodość spędziła we Włocławku i Warszawie, studiowała w Nancy, Paryżu i Krakowie. W poszukiwaniu swego „miejsca na ziemi" trafiła do Kazimierza i to miejsce wybrała. Odtąd krajobraz na pograniczu ziem lubelskiej i kieleckiej pozostanie dla pisarki najbardziej polskim krajobrazem. I gdy wydawało się, że tu, w mieście pod „dwoma księżycami", nastąpi zakorzenienie i przerwanie rodowej tułaczki, wojna przywróciła stan poprzedni, znalazła się znów Kuncewiczowa na starych szlakach polskiego tułactwa. Ale od lat, jak do Itaki, powraca co roku do Kazimierza. „Fantomy", zresztą nie tylko one, świadczą, że w tym właśnie miejscu jest najbardziej sobą.

Oto jedno z licznych potwierdzeń: „Tak samo sęki w podłodze kazimierskiego domu, skrzypienie niektórych drzwi, dotyk stołowego blatu, zapach liści na trawniku pod jarzębiną, wstydliwe łopotanie topoli za stodołą Koziorowskich, światło na niebie za dębem tam, gdzie dawniej była chatka — te rzeczy dotykalne, widzialne, uchwytne dla nozdrzy, chodzą za mną po Rue Pierre Charron i po Bond Street, i po chicagowskim majdanie".

Określenie siebie, być sobą. Mało który z pisarzy tak stanowczo o to zabiega i walczy jak Kuncewiczowa. Broni się przed zamachami na osobistą wolność, strzeże własnej niezawisłości. Ale jeśli nawet ulega się naciskom zewnętrznego świata, jest jeszcze zawsze możliwość ucieczki, pozostaje przecież niedostępne dla innych w n ę t r z e. Komentując chirurgiczne wyczyny doktora Barnarda, godzące w porządek natury, pisze Kuncewiczowa: „Jest iluzją, że mieszkamy w świecie, w mieście, na wsi, w apartamencie, w pokoju! Jedyne u s i e b i e to wnętrze naszych ciał, którego nie znamy, ciemne, śliskie wnętrze, klatka upleciona z mięśni, żył, nerwów o tajemniczym układzie, jedyny schron dla serca, jedyne naczynie dla myśli, jedyna prywatność".

Ale „Fantomy" są nie tylko książką o człowieku, o ludziach. Stanowią autobiografię pisarki, a więc kogoś, kto równocześnie żyje inaczej, ma skuteczny sposób ratowania własnej tożsamości. Przekonywania siebie i innych o swoim prawdziwym istnieniu. „Piszę — czytamy u Kuncewiczowej — żeby siebie uziemić, żeby zatrzymać siebie w ruchu nadanym sobie przez siebie: żeby oprzytomnieć z niebytu. Bo takie jest prawo: należy myśleć, należy być sobą. Do myślenia zmusić się umiem tylko z piórem w ręku, bez tego narzędzia wsiąkam w otoczenie. Natomiast w powolnym rytmie pisania wyłania się samowiedza, wczepiam się w obcy żywioł, który mnie odpycha, zaczynam istnieć jako osobny byt. Taka jest przyczyna i cel mego pisarstwa — sprawa czysto prywatna".

W „Fantomach" mamy więc do czynienia z pamiętnikiem pisarki. To zaś, co najbardziej w nich fascynuje i przyciąga, to zaprzeczenie tego rodzaju wspomnieniowości, do jakiej przyzwyczaiły nas książki ostatnich lat. Kuncewiczowa zakłóca nieustannie porządek czasowy, nie poddaje się materiałowi wspomnieniowemu, ale go stale obrabia i kształtuje. Nazwałbym raczej tę książkę powieścią o sobie, bowiem bohaterka książki jest jakby inną już osobą, uformowaną z elementów biografii pisarki. Zasady konstrukcyjne książki przypominają nie tyle konwencję wspomnieniową, co zapis strumienia świadomości, rekonstrukcję przebiegu życia. Na kartach jawi się tylko to, co jest ważne ze względu na bohaterkę, co ją kształtowało, mówi się o tych fragmentach rzeczywistości, które dawały impulsy lub zderzały się ze świadomością bohaterki. Jej wyczulenie na świat pozostało żywe i chłonne. Wystarczy wskazać, na refleksje, jakie autorka „Dwóch księżyców" snuje w momencie lądowania człowieka na srebrnym globie.

Jest to więc książka głęboko osobista, ale wymagająca także bardzo osobistego odbioru. Zwłaszcza wówczas, gdy czytelnik ma możliwość konfrontacji własnych odczuć z niektórymi doświadczeniami autorki. Gdy prowadzi go ona znajomymi drogami, szczególnie nam bliskimi, Kazimierza, Janowca, nawet Nałęczowa...

W swojej książce Kuncewiczowa ukazała siebie inną, nie tyle „cudzoziemkę", co obywatelkę świata. A przede wszystkim pisarkę. To w niej najważniejsze. Bowiem dla Kuncewiczowej literatura, powieść służy utrwalaniu życia czyli siebie, „przetwarza byt materialny na życie wysuszone z ciała, na byt, którego nic nie je, wiecznie kolorowy, nie podległy gniciu, choć zrobiony z żywej substancji".

Tadeusz Kłak

Maria Kuncewiczowa: Fantomy. Warszawa 1971. Instytut Wydawniczy PAX.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Jak już wielokrotnie mieliśmy możność stwierdzać w naszym niezależnym organie, niewyczerpane są w polskim narodzie literackie źródła wszelkiej erotyki, a szczególnie erotyki tłustawej, na ludowo stylizowanej, choć może z tym ostatnim gatunkiem większy kłopot. Przeto jedno egzemplum okazałe z owego gatunku, autorstwa Pana J. L. z Łubnik. Z cyklu „Halucynacje wiejskie" przedrukowujemy utwór pt. „Kąpiel":

w starej sadzawce
gdzie Gryl świętej pamięci
panie świeć nad jego duszą
nagi
w cztery pacierze zmywał pot
w tej to sadzawce
stare wiejskie kumcie
stare siedzenia
myły o zmierzchu
i anioł stróż dobrodziej
skrzydłem emerytalnym
skrobał plecy
i zmywał cichcem
mężowskie liczby biczowań

Osobom, które miewają kłopoty z realizacją swych miłosnych planów, dedykujemy wiersze niezastąpionego Pana K. Ł. z Bielawy pt. „Napój miłosny":

Weź przepiórczych jajec
tuzin
utrzyj z musztardą i pieprzem
czosnkiem
i bobkiem
przypraw jak należy
z jagodzianką (czyli denaturą — dop. P—R)
napojem idolów
zbeltaj
pociągnij zdrowo
przy dźwiękach weselnego
marsza
skorupki wypluwając

I chłop do dzieła gotów!

Krzyżówka nr 23

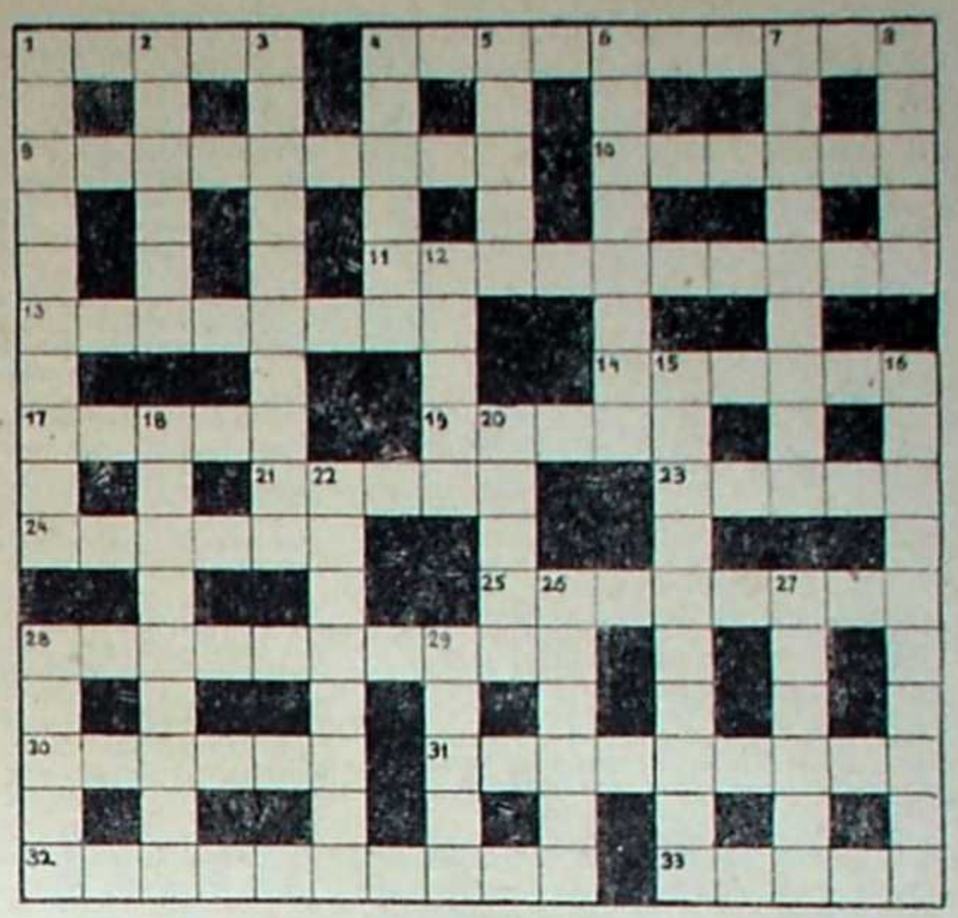

POZIOMO:

1. narośl w nosie, 4. autorka Roty, 9. wielki malarz holenderski XVII wieku, 10. Tadeusz Mostowicz, 11. polski malarz impresjonista i postimpresjonista zmarły we Francji w 1940 r. 13. człowiek nie mający żadnej nadziei, straceniec, 14. stan w USA, 17. pisarz amerykański, laureat Nagrody Nobla w 1930, 19. dźwiga sklepienie niebieskie, 21. miejscowość letniskowa na środkowym wybrzeżu, 23. alkaloid zawarty w herbacie, 24. gatunek jęczmienia o grubym ziarnie, 25. znany architekt polski z lat przedwojennych, twórca gmachów Dyrekcji Kolei i Banku Rolnego w Warszawie, 28. pisarz rosyjski XIX wieku, autor „Szlacheckiego gniazda", 30. badania naukowe, 31. dramatopisarz starogrecki, 32. pisarka polska, czołowa przedstawicielka pozytywizmu, 33. godło staroryzmskich liktorów i faszystów Mussoliniego.

PIONOWO:

1. pisarz włoski, laureat Nagrody Nobla 1934, 2. kolorowy pas na spodniach, 3. niemiecki lekarz z XV wieku uważany za prekursora nowoczesnej medycyny, 4. stary mebel, 5. imię biblijne, 6. zachęta, bodziec, 7. aktor i poeta XIX wieku, twórca librett od kilku oper Moniuszki, 8. był nim Winnetou, 12. zamknięta klasa społeczna w Indiach (wsnak), 15. krakowski krytyk, twórca „Bibliografii polskiej", którego dzieło kontynuował syn, 16. Mikołaj Sęp, 18. pomocnik proboszcza, 20. historyk radziecki, autor biografii „Napoleon", 22. poszukuje w bibliotekach, archiwach itp., 26. teksty religijne wyznawców mazdaizmu, 27. w wierzeniach niektórych ludów tajemnicza siła zamknięta w jakimś przedmiocie i przynosząca szczęście, 28. włoski poeta późnego Renesansu, autor „Jerozolimy wyzwolonej", 29. stan w USA.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki nr 21

POZIOMO:

Gąsiorowski, erem, Morcinek, kardiogram, Admetos, Don, Hahn, trasa, kasetony, Stoa, młot, paka, usus, odbiorca, Olimp, Hron, Uri, Elstera, takielunek, seniorat, igła, biesiadnicy.

PIONOWO:

Grek, Sorrento, odmiana, oryginał, suma, itr, epicentrum, Makuszyński, Omaha, Dostojewski, akta, rakietnica, smar, stal, opar, Konwicki, sputniki, chata, Ireland, EFTA, Kiry, rab.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 21 nagrody wylosowali:

Anna Bury, Radzymno, pow. Jarosław, ul. Słowackiego 22, Marek Jędrych, Lublin, ul. Zmichowskiej 1a, Stefan Komorowicz, Skarżysko-Kamienna 3 ul. Staffa 22/2, Wacław Mazurek, Oleśniki, p-ta Fajsławice, pow. Krasnystaw.

Listy do KAMENY

„Manowce regionalizmu"

Społeczny ruch regionalny to bardzo piękna rzecz i niejedno województwo wiele mu zawdzięcza. Dla przypomnienia: gdyby nie stowarzyszenia społeczno-kulturalne w Koszalinie, Olsztynie czy Zielonej Górze, gdyby nie wysiłek działaczy tych stowarzyszeń, obecny obraz tych województw, kreślony wskaźnikami gospodarczymi i kulturalnymi, byłby na pewno znacznie uboższy. Także i Lubelszczyzna zawdzięcza co nieco swoim stowarzyszeniom, może nie tak prężnym i wielostronnie działającym, jak wymienione, lecz w pewnym stopniu zasłużonym dla naszego regionu.

Ale regionalizm posiada swoje cienie i często prowadzi do pospolitego partykularyzmu. Tzw. umiłowanie ziemi rodzinnej nie dopuszcza do świadomości niektórych ludzi prostej prawdy, że kraj nasz jest organiczną całością, a podział na województwa i powiaty zabiegiem mającym tylko ułatwić administrowanie ową całością. Zapatrzeni w swój region, gotowi są zrobić wszystko, aby wzbogacić go na przykład w inwestycje przemysłowe, które ze względów ekonomicznych całego kraju w żadnym wypadku nie powinny być w tym właśnie miejscu lokalizowane. Aby przekonać władze centralne, aby zachęcić inwestorów do wznoszenia nowych zakładów produkcyjnych na umiłowanym terenie, wymyśla się przeróżne uzasadnienia, zaopatrzone w rzekomo obiektywną dokumentację. Powiaty rolnicze nie chcą słyszeć o tym, że ich naturalnym i wielkim bogactwem jest właśnie ziemia uprawna i domagają się przemysłu. Rok temu ten zresztą otrzymywał inwestycje przemysłowe, kto miał bardziej rozgałęzione kontakty w Warszawie.

Nie tak dawno opinia krajowa została zaalarmowana budową wielkiej wytwórni silikatów na terenie Puszczy Augustowskiej, niszczącej kilkaset hektarów pięknego lasu. Alarm podniosło „Życie Warszawy" i „Ekspress Wieczorny". W rezultacie zapadły decyzje resortowe ograniczające budowę, na której całkowite zaniechanie było, niestety, za późno. Alarm pism warszawskich był zatem uzasadniony. Tymczasem białostocki miesięcznik społeczno-kulturalny „Kontrasty", pismo Białostockiego Towarzystwa Kultury, a więc stowarzyszenia regionalnego, zauważa w przeglądzie prasy: „Sądzimy, iż spór ten (o silikaty — przyp. mój) mogliby rozstrzygnąć jedynie eksperci... Białostoczanom zależy bowiem zarówno na utrzymaniu walorów krajobrazowo-turystycznych Augustowa, jak i na rozwoju ekonomicznym regionu". Rozwój ekonomiczny regionu, to zdaniem pisma, tylko przemysł. W województwie o dobrych glebach i wspaniałych terenach rekreacyjnych, które są bazą przemysłu turystyczno-hotelarskiego — na całym świecie, tylko nie na Białostocczyźnie!

Ostatnio dowiedziałem się, że w sąsiednim województwie przystąpiono do wznoszenia wielkiej huty szkła, która surowiec otrzymywać będzie z jednego z powiatów Lubelszczyzny, co wymaga wycięcia sporej połaci lasu. Powiat ten należy do biedniejszych, posiada nadwyżki siły roboczej i dysponuje surowcem, potrzebnym do produkcji szkła. Do chrzanu z takim regionalizmem!

Andrzej Kopelski
Lublin

Dworek Pola w obłokach

Jak wiadomo, w Lublinie w rejonie Kalinowszczyzny ma powstać Muzeum Wsi Lubelskiej, zaplanowane z niezwykłym rozmachem. Co pewien czas czytam w prasie, w „Kamenie" także, o kłopotach organizacyjnych i lokalowych tej placówki. A że mieszkam właśnie na Kalinowszczyźnie, mam okazję bezpośrednio sprawdzać rzetelność tych informacji. Niestety, są rzetelne.

Bodaj od lutego br. obserwuję prace wokół pierwszego i jedynego dotąd obiektu, przeniesionego na teren skansenu. Jest nim dworek Wincentego Pola, znanego poety, ale i wielce zasłużonego etnografa i geografa, o czym zapewne szerzej opinia publiczna nie wie. Dworek ten przeniesiono z terenu Lubelskiej Fabryki Wag, obecnie montuje się go z drewnianych części. Do dziś, a więc po upływie ośmiu miesięcy od chwili złożenia belek na placu, wykonano zaledwie podmurówkę i położono bodaj pierwszą, najniższą warstwę belek. Tablica informacyjna głosi, że prace te wykonuje lubelski oddział PKZ. Ta zatrosna ślamazarność winna skłonić władze do popędzenia kota wykonawcom. Czy ma się powtórzyć historia z dworkiem Kościuszki na Stawinku, remontowanym od kilku lat? Czy naprawdę Lublin cierpi na nadmiar pamiątek po wybitnych swych obywatelach?

Anna Walicka
Lublin

Koblecy Świdnik

WSK w Świdniku zatrudnia przede wszystkim mężczyzn i jest jedynym dużym zakładem przemysłowym tego dziwnego miasta, które w przyszłości może się połączy z Lublinem; do tego czasu wiele wody upłynie. Tymczasem narasta tam trudny problem braku pracy dla kobiet, co powoduje przeróżne reperkusje społeczne. Jednym z elementów tej sytuacji jest zapewne wysoki stopień zachorowań na choroby weneryczne — procentowo bodaj największy w kraju. Planowana budowa fabryki obuwia, która miała zatrudnić niemal 3500 osób, głównie kobiet, wyleciała z „pięciolatki". Być może, było to usprawiedliwione względami polityki ekonomicznej. Źle jednak byłoby, gdyby na takim rozwiązaniu sprawy poprzestano, albowiem komplikacje społeczne w Świdniku będą na pewno się powiększać. Temat ten polecam uwadze redakcji.

Dr Halina Zalewska
Świdnik

„Kampania wrześniowa na Lubelszczyźnie"

W 19 numerze „Kameny" z 12 września br. ukazał się artykuł W. Białasiewicza „Lubelski wrzesień 1939 roku" (uwagi na marginesie książki płk. A. Sikorskiego „Kampania wrześniowa na Lubelszczyźnie. Zarys ogólny". Lublin 1966). Zachęcony tym artykułem, chciałbym i ja dorzucić kilka uwag do słowa wstępnego pióra Z. J. Hirsza, zamieszczonego w tej książce. W części poświęconej Lublinowi autor popełnia kilka zasadniczych błędów.

Z. J. Hirsz podaje, że pierwsze bombardowanie Lublina było 9 września. Otóż pierwszy raz Lublin był bombardowany już 2 września. Jak wynika z meldunku dowódcy OPL DOK II płk. J. Załuski, wysłanego do sztabu dowódcy OPL Kraju w Warszawie, Lublin w tym dniu był trzykrotnie bombardowany przez około 30 maszyn niemieckich (należących do 4 floty powietrznej) w godzinach 7,20 —11,15. Natomiast nalot w dniu 9 września był największy w toku całej kampanii. Bombardowane było centrum miasta i okolice dworca kolejowego. Sporo budynków uległo zniszczeniu, wybuchły liczne pożary, było dużo ofiar wśród ludności cywilnej (zginął m. in. Józef Czechowicz). O nalocie tym donosi w swoim meldunku do Naczelnego Wodza dowódca armii „Lublin" gen. dyw. Tadeusz Piskor: „o godz. 10,20 DOK Lublin zbombardowane, Hughes i łączność przerwana i dlatego muszę meldunek wysłać przez oficera. Przenoszę się pod Lublin (przedmieście północne)". Na meldunku dopisek szefa sztabu armii: „g. 12,17 9.9 PS. Lublin pali się, światła (elektrycznego), wody, telefonów nie ma, ludność ucieka. Zawisza płk. dypl.". („Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej", t. 1, cz. 3, s. 556).

Nie jest ścisłą informacją, że obowiązki dowódcy obrony Lublina powierzono mjr. dypl. Tadeuszowi Linkowi (ur. 5 lipca 1900 r., ukończył Wyższą Szkołę Wojenną w 1929 r., zginął po wojnie w katastrofie w Argentynie), który od 28 maja 1937 r. do września 1939 r. pełnił obowiązki oficera sztabu dowódcy OPL OK II. Mjr. dypl. T. Link mógł pomagać w organizowaniu obrony miasta kpt. S. Lis-Błońskiemu, który bardzo aktywnie działał na terenie Lublina, a potem płk. dypl. Piotrowi Bartakowi (ur. 17 czerwca 1890 r., zginął 18 września 1939 r.) mianowanemu 14 września przez gen. Piskora dowódcą obrony Lublina („Kampania wrześniowa na Lubelszczyźnie", s. 65).

Wątpliwości budzi także podana przez Z. J. Hirsza data wkroczenia Niemców do Lublina. W świetle wspomnień i relacji wynika, że oddziały niemieckie (14 dywizja piechoty) wkroczyły do miasta 18 września rano. Nie sądzę by Niemcy, którzy w toku całej kampanii 1939 roku unikali walk nocnych, odważyli się zajmować miasto w nocy (z 17 na 18 września).

Tyle o błędach zasadniczych, które w 1966 roku były do uniknięcia.

Zabrałem głos, ponieważ interesuję się tematem „Lublin w wojnie obronnej 1939 roku" i od września 1968 r. zbieram materiały dotyczące tamtego okresu (relacje, wspomnienia, ankiety).

Andrzej Konstankiewicz
Lublin

„Zapole"

W ostatnim (4) numerze dodatku do „Kameny" pt. „Zapole" ukazała się krótka notatka poświęcona pamięci Jana Pocka. Po przeczytaniu jej z oburzeniem stwierdziłem, że anonimowy autor tej notatki poprzez silenie się na napuszoną „poetyckość" wypowiedzi, a w efekcie dając świadectwo swej nieudolności pisarskiej i zupełnej ignorancji dla łatwo sprawdzalnych faktów, uwłacza pamięci znanego i cenionego przez wielu ludowego poety. Ze względu na szacunek dla Zmarłego nie przytaczam całej notatki, ale ograniczę się jedynie do zacytowania trzech zdań. Oto one: „29 października br. miną trzy miesiące od momentu, gdy zgasła jedyna gwiazda — serce Poety Jana Pocka ze wsi Kaleń powiat Puławy". I dalej. „Nakrył Ojczyznę własnym, chłopskim sercem swych wierszy. Od „zgrzebnych pieśni" — jedynego tomu poświęconego twórcy ludowemu już w 1947 roku wydanego w Łodzi, przez „Malwy", wiersze w „Antologii współczesnej poezji ludowej", w kolejnych tomach „Wieś Tworząca", aż po spuściznę poetycką".

Prostując jedynie błędy rzeczowe przypominam (o czym zresztą donosiła „Kamena" w numerze z dnia 1 sierpnia br.), że Jan Pocek zmarł w dniu 26 czerwca, a tomik „Zgrzebne pieśni" nie jest jedynym tomem poświęconym twórcy ludowemu, ale jego debiutem poetyckim.

Poza tym w wydrukowanym obok notatki wierszu Pocka pt. „Jestem" zmieniono jedno słowo i w konsekwencji rozpoczyna się on w sposób bezsensowny: „Jestem niebem pełnym pogardy", zamiast: „jestem niebem pełnym pogody".

Jeszcze jeden „kwiatek" z notatki zamieszczonej w tym samym „Zapolu" podpisanej kryptonimem JeJ: „Pragnąc zabezpieczyć pośmiertny dorobek rękopiśmienny poety..." — pozostawiam bez komentarzy.

Józef Zięba
Lublin

OD REDAKCJI: Dodatek „Zapole" redagowany jest wprawdzie przez ośrodek lubelski KKMP, co mimo wszystko nie zwalnia nas od nieco wnikliwszej lektury dostarczanych materiałów, niż to miało miejsce w tym przypadku.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał KONSTANTY KĘPA

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrzynka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZOraf. Zam. 2634 26.X.71. 18.441 A-4

Za kulisami „Wielkiej Gry"

BYŁEM niedawno w warszawskim sądzie. Na Lesznie. A ponieważ dawno już tam nie bywałem (ostatni raz na procesie pewnego, bardzo wpływowego niegdyś pana z tytułem doktora praw, który zajmował się wystawianiem lewych zaświadczeń dla rzekomych absolwentów Uniwersytetu Jagiellońskiego), odkryłem, że jest to jedna z najbardziej demokratycznych instytucji. Obok znakomitości świata kultury i sztuki można bowiem spotkać i drobnego złodzieja, którego przyłapano na wynoszeniu kilograma państwowych, a więc społecznych, gwoździ i pewną bardzo piękną panią, która chętnie odkryje przed nieznajomym, czekającym przed salą rozpraw, wiele najbardziej intymnych i najbardziej zaskakujących tajników swego nieudanego pożycia z pewnym — znanym mi zresztą — eleganckim i wytwornym panem. Ten pan — jak zwierzyła mi się owa ładna i doskonale „zadbana" pani — jest w życiu codziennym najzwyczajniejszym brutalem i chamem...

Tak wciągnęły mnie wynurzenia mojej zgrabnej, długonogiej sąsiadki, iż o mały włos nie przeoczyłem głównego celu, który sprowadził mnie do sądów na Lesznie, a który zakodowany pod symbolem II C 608/71 był — jak głosił przypięty pineską do drzwi sali 210 wykaz rozpraw znajdujących się tego dnia na wokandzie Sądu Wojewódzkiego — sprawą: „Łękowski przeciwko Komitetowi d/s Radia i Telewizji". Wysoki Komitet d/s reprezentowało dwóch panów, z których jeden nosił przydymione okulary i cedził słowa z godnością angielskiego para, oraz otyłego, siwowłosego mecenasa o aparycji Pawlikowskiego - Zagłoby.

Wobec tego tandemu godności i dostojeństwa przeciwnik wysokiego Komitetu prezentował się raczej mizernie: szczupłutki, niewysoki, lekko przygarbiony, z ceglastymi wypiekami na wychudłych policzkach; sprawiał wrażenie, jakby to nie on był atakującym, lecz atakowanym.

Kiedy wszyscy zainteresowani zajęli już przewidziane dla stron miejsca, szybko okazało się, że Wysoki Sąd w postaci pewnej siwej i surowo wyglądającej pani oraz dwóch siedzących po jej bokach ławników uznał się niekompetentny dla wydania wiążącej odpowiedzi na pytanie, czy można było od p. Łękowskiego wymagać, aby wiedział, że fragmentu wiersza A. Asnyka:

„Pełno życia, pełno blasku
Melodyjnie szemrzą zdroje
A na jasnym tle obrazka
Widać jeszcze gości dwoje"

(który nie znajduje się w żadnym ze zbiorów wierszy poety) należało szukać w specjalistycznych monografiach — czy też racją ma Wysoki Komitet d/s Radia i Telewizji, który obstaje przy swoim twierdząc, że formułując pytanie („Wiersz Adama Asnyka, z którego cytowany fragment pochodzi, ma dwie wersje opublikowane pod dwoma różnymi tytułami — proszę przytoczyć obydwa tytuły oraz podać, czy powyższa strofa znajduje się w obydwu wierszach czy w jednym") — dostatecznie jasno wyłożył, jakiej oczekiwał od zawodnika odpowiedzi.

Nie dziwię się Sądowi, że odesłał cały spór wraz z aktami sprawy przeciwko „Wielkiej Grze" do Instytutu Filologii PAN, gdyż naprawdę tylko asnykolodzy mogą go chyba rozwikłać i odpowiedzieć na pytanie: czy jeśli jakiś poeta wpisze coś młodej pannie do sztambucha i zatytułuje to „Wspomnienie spod Giewontu", a później napisze inny wiersz, w którym nie pomieści owego fragmentu wpisanego kiedyś pannie Zosi i zatytułuje go „Ranek w górach", który to „Ranek w górach", a nie „Wspomnienie spod Giewontu" wejdzie po latach do tzw. trwałej spuścizny poety — „Wielka Gra" (wielka, bo można w niej „trafić" 25 tysięcy złotych) ma prawo wymagać od amatora - hobbysty, aby o tym pamiętał?

Nie dziwię się też panu Łękowskiemu, że po odrzuceniu odwołania przez „Wielką Grę" postanowił uruchomić wielką machinę sądową, jako że 25 tysięcy, które mógł zdobyć w miejsce ustawowych 10 proc. kwoty już zdobytej (1 200 zł), jest dla niego, skromnego emeryta, byłego kierownika wiejskiego domu kultury w pow. lęborskim, kwotą tak zawrotną, że chyba wartą „rzucenia rękawicy" i p. Joannie Rostockiej do spółki z ekspertem — pisarką Marią Szypowską i — w końcu samemu Komitetowi „do sprawy".

I jeśli mogę się czymkolwiek dziwić to tym, że miła i pożyteczna zabawa, gra, której celem jest przecież wyławianie ciekawych, mądrych ludzi, rozbudzanie zainteresowań nauką, literaturą, sztuką, ukazywanie młodym ludziom innych horyzontów niż „budka z piwem", traktuje człowieka, który rozkochał się w poezji z surowością, jakiej nie egzekwuje się w tej instytucji w stosunku do profesjonalistów, partolących z uporem wiele tzw. artystycznych programów, rozkładających na obie łopatki pewne społeczno-polityczne magazyny, których koszt przygotowania, produkcji i emisji wielokrotnie przewyższa ową kwotę 25 tysięcy złotych.

Ze co? Że każda gra ma regulamin? Oczywiście. Ma. Ale czy powierzając z uporem jednym i tym samym ludziom robienie kiepskich programów nie mija się to czasami też z jakimiś regulaminami?

Tak więc nie przesądzając sporu i nie opowiadając się za żadną ze stron zwaśnionych, apelowałbym jedynie na przyszłość o coś, co nazwałbym marginesem, „poprawką" dla ludzi nieprzeciętnych, ambitnych. Szkoda ich. Tak mamy ich niewielu, a tak byśmy ich wszyscy potrzebowali. We wszystkich dziedzinach.

Juliusz Solecki

Co i gdzie piszczy?

Z MATEMATYKĄ zawsze byłem na bakier. Mój gimnazjalny nauczyciel, Eugeniusz Ziemba, którego ciągle zachowuję we wdzięcznej pamięci, machnął ręką, wiedząc, że nigdy nie zrobi ze mnie ćwierć Einsteina. Wprawdzie rozwiążę jeszcze dzisiaj równanie z dwoma niewiadomymi, ale na tym kończy się moja „edukacja".

Aliści odwiedził mnie przed tygodniem w redakcji p. Ryszard Borowski z Annopola i pokazał m. in. odpis telegramu, jaki wysłał do ministra oświaty i szkolnictwa wyższego, prof. dr Henryka Jabłońskiego:

Rozwiązałem kwadraturę koła, tłumaczy wszystko, odkrycie kopernikowskie wagi państwowej, pół roku zabiegam w UMCS o umożliwienie mi demonstracji, proszę o interwencję.

P. Borowski malował mi palcem na ścianie różne wykresy, czułem się jak przedszkolak i o całej sprawie byłbym może zapomniał, gdyby nie list, który ostatnio otrzymałem z Annopola. P. Borowski przysłał mi kopię pisma, które skierował do prof. Narcyza Łubnickiego, prezesa Towarzystwa Filozoficznego z prośbą o publikację tego tekstu. Myślę — pisze do mnie — że byłaby to najskuteczniejsza forma zwrócenia wreszcie uwagi na rzeczy elementarne, pomijane dotąd przez profesjonalistów, powstałoby okropne zamieszanie w środowisku akademickim i chodzi o to, aby nikt w Polsce nie musiał żebrać przez kontakty towarzyskie posłuchania w słusznej sprawie i choćby najgłupszej — każdy obywatel ma prawo oczekiwać od instytucji, żeby z uszanowaniem ludzkiej godności petenta odpowiadano na jego indagacje. Fakt, że nie odpowiedziano mi na tyle moich listów, jest oburzający. Gdyby Pan Redaktor nie mógł opublikować mego listu, wyślę go do innego tygodnika i do „Trybuny Ludu". Dla uniknięcia zbędnej korespondencji umawiamy się, że po upływie dwóch tygodni brak odpowiedzi pozytywnej z Pańskiej strony oznacza negatywną odpowiedź.

I PS:

Dla mnie to sprawa życiowej wagi, całkowicie mi zatruła żywot.

Serce mam miękkie, nie skąpiłem miejsca dla p. Sity z Ząbkowic Śląskich, tym bardziej trzeba popierać Lubelaka. Niestety, list do prof. dr. Narcyza Łubnickiego jest dość długi, a poza tym obfituje w symbole matematyczne, figury geometryczne, nie wiem, czy podołają linotypiści, czy korekta czegoś nie poplącze. A więc może tylko fragmenty:

Dokonałem syntezy absolutnie wszystkich wyodrębnionych przez człowieka faktów na jednej zasadzie. Tylko jeden fakt jest dla mnie niejasny — fakt istnienia [...] Rozwiązałem kwadraturę koła przy pomocy cyrkli i linijki, odkryłem bowiem precesję koła i kąt przystępny [...] Równanie czasu rozwiązuje się przez sumowanie kątów ekliptyki. Tłumaczy się również plama słoneczna, jako efekt precesji dośrodkowej światła. Łatwo ją obliczyć posługując się kątem przystępnym. Działaniem równoważnym jest 26 000 lat : 4 razy 365 = 18 lat.

Plamy słoneczne są po prostu wygaszeniem strumieni światła przez sumę albeda planet — pojawianie się ich w okresie 18—11 lat jest zrozumiałe: 11 lat jest obiegiem największej planety Jowisza (wg roku gwiazdowego) — w 1947 r. największa plama miała powierzchnię koła Jowisza. Jestem pewny, że moja synteza jest najdonioślejszą z dotychczasowych ze względu na jej prostotę, szerokość i głębokość w penetracji zjawisk — od światła atomu do nieskończonych obszarów kosmicznego oceanu galaktyk [...] Jak patrzymy na zieloną ścianę, a później nieco przenieśliśmy wzrok na inną — złudne ma być wrażenie czerwieni. Kłamstwo! Bo pod zielonymi drzewami rosną czerwone grzyby i żyją czerwone zwierzęta, o złoto jestem jest li tylko reakcja na chłodne światło idące z przestrzeni kosmosu, przyroda walczy się ze światłem i ze światłem. Mam prośbę do Pana Profesora — żeby Pan zechciał poprzeć moją prośbę o wygłoszenie przeze mnie referatu na posiedzeniu Towarzystwa Filozoficznego w Lublinie. Chodzi o ratowanie licencji dla Polski. Dlaczego mielibyśmy być wtórni w odkryciu, które dokonaliśmy pierwsi, czy przez ślamazarność władz Wydziału Mat.-Fiz.-Chem.? Od pół roku zabiegam o wysłuchanie w UMCS i bez odpowiedzi pozostają moje listy [...] P.S. Ze światła bajki. Niech się cieszą wszystkie dzieci światu: straszne smoki ziejące ogniem istniały! Miały silikonowe, ogniodporne pancerze i wnętrza, dlatego ich szkielety znajdujemy na cmentarzyskach pustyni. Były olbrzymie, bo krzem jest cięższy od węgla i grawitacja wtedy była mniejsza [...] Mam nadzieję, że nie będzie miał Pan Profesor nic przeciwko opublikowaniu tego listu [...] Zmuszono mnie do szukania rozwiązania dylematu „braku zainteresowania władz" przez nawiązanie kontaktów towarzyskich. Oby nie żądali ode mnie legitymacji cioci i wuja, bo takich nie mam na uczelni.

Uff. W redakcji „Kameny" też p. Borowski nie ma ani cioci, ani wuja, ale kierując się dobrem społecznym — fragmenty listu drukujemy. Tym bardziej, że p. Borowski jest nauczycielem Liceum w Annopolu.

Czego się jednak w naszej prasie nie publikuje. Oto Ryszard Krynicki zamieścił na łamach „Studenta" (nr 10) wiersz pt. „31 marca 1971, godzina 19.21". (Tutaj uwaga: młodzieży redakcyjnej ten utwór się podoba, a nawet poniektórzy usiłują mnie przekonać, że go rozumieją!). Pozwolę sobie przytoczyć fragment:

cały świat patrzy na Moskwę
kibic Górnika Zabrze umiera przed
telewizorem na zawał cudzego serca
z Wydziału Gwałtów miejscowej
milicji obywatelskiej,
wychodzi obywatelka milicyjna
jest dzień wypłat dzisiaj nie
sprzedaje się alkoholu a jednak
zabłąkany przechodzeń widocznie
nie posiadający telewizora
(kupno telewizora jest twoim
patriotycznym obowiązkiem)
śpiewa „Gdybyś, miły, nie miał kity" ja
ze znanym krytykiem literackim
licytuję się w znajomości życia
i twórczości Tadeusza Peipera
krytyk pyta mnie o nazwisko

I jak się potem dziwić zastępcy redaktora naczelnego „Kuriera Lubelskiego" Jerzemu Turżańskiemu, który na pytanie, dlaczego w redagowanej przez niego rubryce „Co w prasie piszczy" skrzętnie omija „Kamenę"? — odpowiada: „Głupstwa piszecie i jeszcze mamy wasze pismo propagować!"

Nie tylko piszemy, ale i przedrukowujemy! Postaramy się pamiętać i o publikacjach red. Turżańskiego.

MAJ

MINUTA MYSLENIA

Piorunik na Wicherka

BARDZO lubię dyskusje o niczym. Powiedzmy łagodniej: o czymś nie zanadto ważnym. Jest to jedna z pożytecznych form reakcji na stress nadmiaru, jaki mnie atakuje ze strony jakże dziś zwielokrotnionych w swej funkcji wszelkich źródeł przekazu. Problemów, dylematów, wiadomości, spraw — idących ku mnie jak w makabrycznym śnie wizyjnym à la Poe, Dostojewski, Kafka.

Przy tym nadmiarze zawsze opada mnie przerażenie, że nie jestem w kursie, że czegoś nie wiem, że zostaję w tyle, że przewalają mi się przez głowę fale życia, zostawiając mnie niemal topielcem nie doniesionym do plaży. Kiedy więc natrafiłem w prasie na rozmowę o pogodzie, czuję się wzięty w obronę przed atakiem nieogarniętego świata. Dajcie mi pled, zapalcie stojącą lampę, nie zaszkodziłby i kominek. Podobno Anglicy do dziś rozmowy o pogodzie uważają za najbardziej frapujące.

Czemu się dziwić? Ten w nich spokój, to nieprzyjmowanie do wiadomości denerwujących konfliktów, ta ważność ustalenia, jaki to stopień chłodu wniósł w przedpołudniową porę dzisiejszy poranek. Niegroźny, oswojony świat.

Tak więc przy dyskusyjnej młocce na temat współczesnej literatury prowadzonej przez „Współczesność", gdzie co rusz otrzymuje w bok to historia, to racja pokolenia, to któreś z ideowych i artystycznych przesypów, przeczytana w rubryce „Listy" w „Szpilkach" (nr 41) polemika Eryka Dodińskiego z Czesławem Nowickim — kołysze wprost lecharowskim rytmem. Nareszcie nie strzelają do mnie z pojęć rozdymanych do rozmiarów zeppelinu, nareszcie przedmiotem sporu jest kolano jako źródło prognoz meteorologicznych i „miecz Demokratesa".

A propos przejęzyczeń. Niemała już wierszówkę układali sobie redaktorzy w kronice potknięć telewizyjnych, wychwytujący drobne odchylenia od normy językowej w sprawozdaniach sportowych. Że redaktor Smarzewski, czy redaktor Ciszewski znów znaleźli się na bakier ze stylistyką czy składnią. Proszę państwa, oni wciąż znajdują się na ostrym wirażu. Oni nie mają czasu mówić. Oni galopują. Takiego użytku z języka nie czyni telewidz, nie czynimy my — „normalni ludzie". Osobiście dziwię się, że przy tak szybkiej emisji słów, jaka jest konieczna przy sprawozdaniach z niektórych meczów w ogóle nie odmawia im posłuszeństwa organ artykulacji. Z pozycji tapczanu stosunek do czystości mowy jest znacznie łatwiejszy.

Więc i ten Demokrates mógł się wyrwać Wicherkowi, który niezależnie od konieczności lubuje się w szybkostrzelnym słowie. Dyrektor PIHM Eryk Bobiński nie omieszkał Wicherkowi tego Demokratesa wytknąć, jak również paru jego prognoz (na przestrzeni 15 lat), które się nie sprawdziły. A sam przecież zaznacza, że „odkąd istnieją służby meteorologiczne prognozy pogody będą tematem żartów". Wicherka to nie usprawiedliwia?

Ale — jak się rzekło — nie mogę mieć pretensji do dyrektora Bobińskiego (ani do Feliksa Dereckiego, który nie przewidzianą przez PIHM burzę w szklance wody rozpętał), ponieważ błahość sprawy tak idealnie pasuje do preferowanego przeze mnie wzorca angielskiej rozmowy, że czuję się w pełni czytelniczej satysfakcji. Jeśliby coś miał do zarzucenia, to może rozmiar wypowiedzi, który właściwie leży w stylu, ale cokolwiek uszczuplony udostępniłby nieco miejsca fraszkom Jerzego Litwiniuka. Na cztery jego zamieszczone wiersze nie zrozumiałem czterech. Może przy lekturze dalszych pochwyciłbym coś z wyszukanej, a subtelnej ironii. Za podjęcie akcji dydaktycznej pod tym tytułem miałbym dla redakcji dużo wdzięczności.

Co zaś do Wicherka, to nie wydaje mi się, aby aura jego samopoczucia miała ucierpieć od ostrych fluktów wysłanych ze strony PIHM. Z pewnością „opinię społeczną" ma za sobą. Nie w tym naiwnym, kompromitującym sensie, jaki dotyczy co gorszych piosenkarek oklaskiwanych z zazdrością przez szesnastoletnie uczennice, ale przecież nikt z telewidzów nie może mieć żadnych pretensji do obszernego pana, który mówi o jutrzejszej pogodzie, a przy okazji pokazuje niezwykłych rozmiarów grzyby i ciekawie zrośnięte pomidory. W dodatku — mówi tak szybko, jakby szanował niecierpliwość słuchacza czekającego na dobry film.

Nie Wicherka winić, że przeważnie — na próżno.

Ijon

Odpowiedzi redakcji

Z. A. O. w Lublinie. Tajniki ortografii obce są Panu absolutnie, co wiersz, to błąd. Tajników poezji też Pan nie opanował. Suche to wszystko jest, miałkie i nudne, choć nie wątpimy, że uczucia szczere Panem powodowały. Ponad tę odpowiedź niewiele więcej możemy uczynić dla Pana.

K. A. K. w Łodzi. Recenzja jest nadzwyczaj powierzchowna i zdawkowa. „Książka — jak Pan twierdzi — nie rości sobie zbyt wygórowanych ambicji". Widać i autor recenzji nie rościł sobie... itd. Nie skorzystamy.

C. S. D. w Warszawie. W jaki to sposób można „ostrzyć swe zęby na słońcach promieniach"?! Tego rodzaju wątpliwości nastręczają nam Pańskie teksty więcej. Mimo całego rozbicia frazy składniowej oraz potocznych znaczeń słowa poezja współczesna posiada swoje sensy, i musi posiadać, albowiem każdy tekst literacki jest komunikatem, a więc funkcjonuje przynajmniej między dwiema osobami. Pan zdaje się o tych prawdach zapominać. Smutno nam — coraz bardziej ludzie nie potrafią porozumieć się ze sobą, zaś Pan by na dodatek jeszcze chciał czytelnika przerazić swoimi tekstami. Brzydka zabawa.

T. S. w Warszawie. Tylko pogniewać nam się wypada za niechlujny i pobazgrany świstek wydarty z zeszytu. Toteż gniewamy się. Na marginesie — wiersz nas nie zainteresował.

„Diapanazy Muszka". Nie podaje Pan adresu zamieszkania, nic o sobie nie pisze i w dodatku wymyśla jakiś naiwny pseudonim. Mimo to odpisujemy, albowiem wyczuwa się w Pańskich wierszach — jeszcze bardzo nieporadnych warsztatowo — ciekawość świata, umiejętność dostrzegania i podpatrywania spraw ludzkich, które się wokół autora dzieją. I to już jest sporo jak na (chyba?) początkującego poetę. Zastanawiamy się tylko, czy zapowiedź Pańskiego talentu nie lepiej by się zrealizowała w prozie. Radzimy spróbować. Tak czy owak czeka Pana jeszcze dużo pracy nad doskonaleniem języka, kompozycji, metaforyki itd. Kultury słowa brak Panu nieco, i o tym też trzeba pomyśleć.

J. B. w Rzeszowie. Być może, akurat dokonał Pan nie najszczęśliwszego wyboru spośród własnych tekstów. Nadesłane trzy rażą miałkością poznawczą w najszerszym znaczeniu tego słowa. To jakby wprawki poetyckie, próby opisu, lecz jeszcze nie literatura sensu stricto. Pozdrawiamy.

R. K. w Jacni. Niestety, to są bardzo złe wiersze. I nic na to poradzić nie jesteśmy w stanie. Szmat czasu ma do odrobienia Pańska świadomość literacka.

Z. M w Janowie. Właściwie trudno nawet wskazywać jakieś konkretne błędy, bo trzeba by zakwestionować wszystkie teksty. Po prostu jesteś jeszcze bardzo młodym chłopcem, którego wiedza o literaturze nie przekracza pierwszych klas liceum. Wyjście jedno — dalej się uczyć i czytać, nie ograniczając się do kanonu lektur szkolnych. Pewien samokrytycyzm przychodzi z wiekiem i z tzw. otrzaskaniem się literackim. Na ocenę z naszej strony jeszcze stanowczo za wcześnie.

A. C. w Lublinie. Żadna ocena nie może być ostateczna, albowiem poza granicą zdrowego rozsądku istnieją różne gusta literackie i rozmaite systemy oceny literatury. Natomiast z całą pewnością bardzo trudno oceniać możliwości autora na podstawie jednego krótkiego tekstu, chyba że jest to utwór znakomity, czego jednak w Pańskim przypadku nie stwierdzamy. W każdym razie w nadesłanym tekście odnaleźliśmy fragmencik poetycko udany, a przede wszystkim odnaleźliśmy jakiś ton lirycznego zapamiętania, co już dobrze świadczyć się zdaje o literackich potencjach autora. Nie zniechęcamy do pisania i pozdrawiamy.

W. T. C. w Lublinie. Przede wszystkim — więcej pokory. Teksty nie są genialne, rozgadane natomiast są nadto. Widać, że jeszcze Pan nie potrafi operować skrótem poetyckim, skupioną metaforą, śmiałą myślą. To nie może cieszyć. Widać jednak obok tego wysiłki wypracowania sobie własnej postawy wobec świata. To już lepiej i oby tak dalej. Nie tracimy nadziei co do perspektyw literackich, jakie przed Panem mogą się otworzyć. Mrówcza praca nad doskonaleniem warsztatu — oto, co Pana oczekuje w najbliższej przyszłości. Do redakcji należy przesyłać maszynopisy albo pisać wyraźniej.

P. K. w Puławach. Jeżeli można, to chętnie dowiedzielibyśmy się czegoś więcej o Panu: co Pan porabia na świecie, ile ma lat... etc.

— Ciapulaka dajemy na wyższe stanowisko, a Ścierałkę przesuwamy do innej roboty...